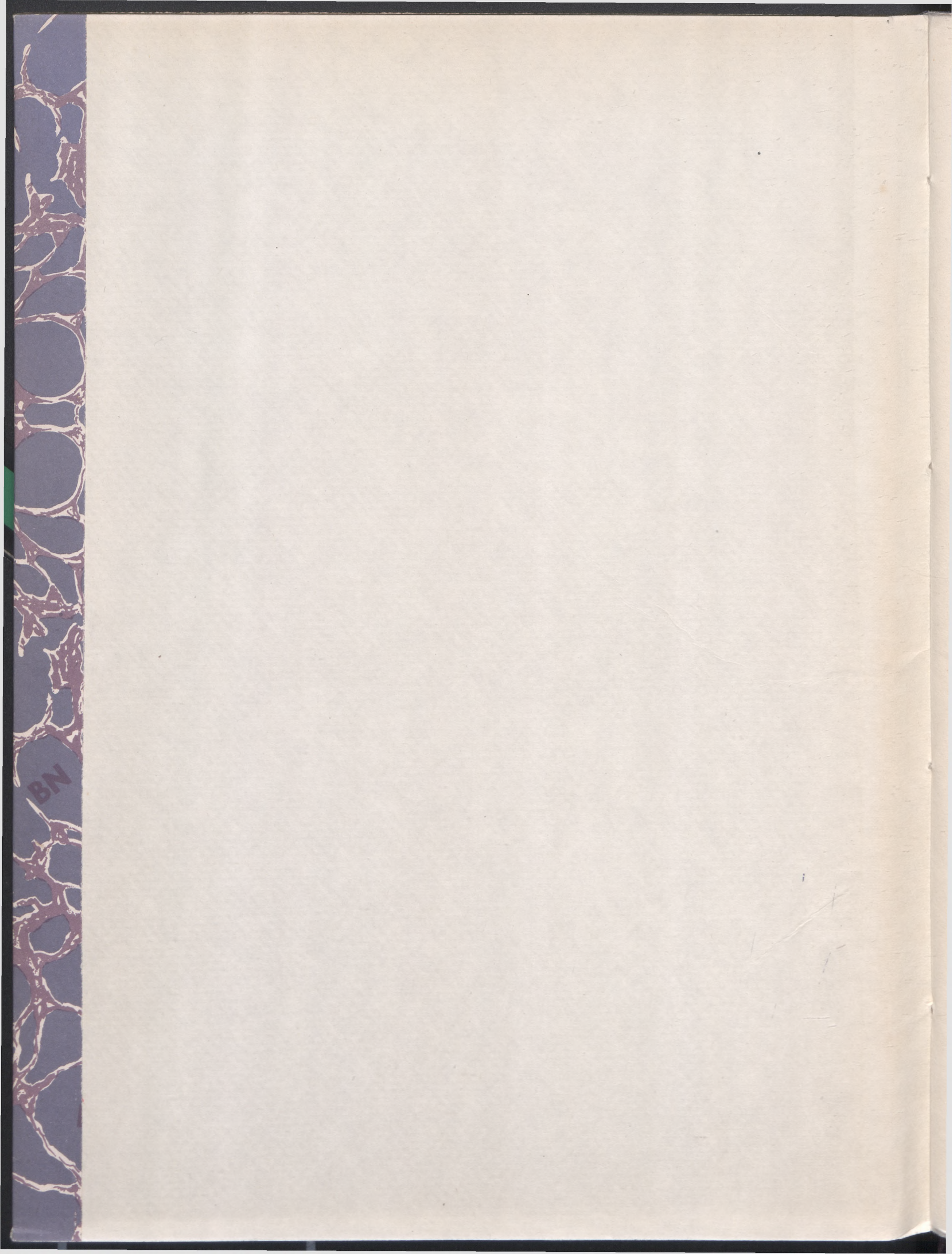
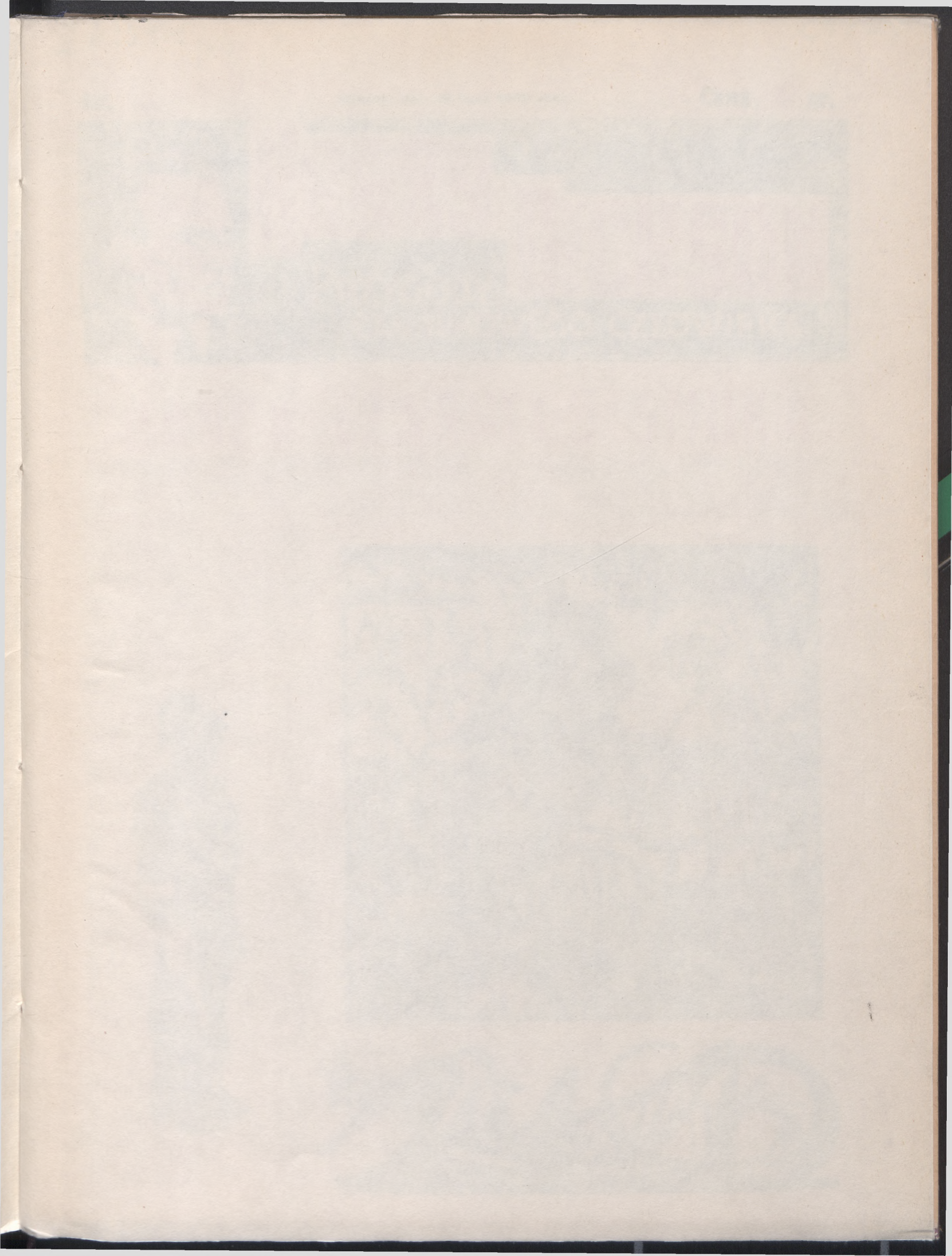


623405180









III. 623.405 / 80

27900

Nr. 80.

Wtorek, dnia 18 lipca 1939 roku

Cena 10 gr.



# HARRY DICKSON

PRZYGODY  
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

## BANDA CZARNEGO SMOKA





# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# Banda Czarnego Smoka

## List z pogrozkami

„Wielmożny Pan John Donnell

Regentspark, Albany Street 24.

Niżej podpisani, członkowie Klubu Duk-Duk, do magamy się od Pana, aby w parku Primrose, w miejscu, które dokładnie zostanie oznaczone, dziś wieczór przez naszego wysłannika, złożył kwotę stu tysięcy funtów sterlingów. Osoba, którą chce Pan w tym celu delegować, zostanie przez nas rozpoznana. Po spotkaniu z naszym przedstawicielem — uda się delegat Pana na oznaczone miejsce.

Nie radzimy Panu meldować o tym liście w policji: byłoby to szaleństwem ze strony Pana. Przewidzieliśmy wszystko i poczyniliśmy odpowiednie kroki ostrożności.

Nie wątpimy, że wykona Pan nasze zlecenie z całą dokładnością.

Jeśli Pan uchyli się od spełnienia naszego żądania — nie ominie Pana nasza zemsta: dotkniemy Go w najczulsze miejsce: sięgniemy po to, co ma Pan najdroższego na ziemi.

Radzimy zastanowić się nad tą groźbą i zapewniamy Pana, że nie zwykliśmy rzucać słów na wiatr.

Wydarzenia z ubiegłego miesiąca niechaj będą dla Pana przestroga i ostrzeżeniem.

**Klub Duk - Duk.**

Milioniar amerykański John Donnell, od kilku miesięcy zamieszkały we wspaniałej willi koło Regent Parku — odłożył list z ciężkim sercem.

Nacisnął dzwonek. Zjawił się bogato wygalowany lokaj.

— Dlaczego nie oddałeś człowieka, który przyniósł ten świstek, w ręce policji — zwrócił się Amerykanin ostro do swego sługi.

— Chciałem to uczynić, sir, i schwyciłem tego człowieka za ramię. Ale jakbym kawał stali poczuł pod palcami. Dostałem potem taki cios w podbródek, że zwałem się jak długi na kamienie tarasu. Gdy się podniosłem, ujrzałem mego pogromcę, oddalającego się powoli, w towarzystwie jeszcze dwóch podejrzanych osobników. Oczywiście, że walka z tymi trzema byłaby jeszcze bardziej beznadziejna. Teraz mi się wydaje, że człowiek, który przyniósł list, nosił sztuczną brodę.

Zapanowała chwila ciszy. Przerwał ją lokaj:

— Więc czego chce ta banda. Pieniądzy? Groźą porwaniem. To już nie pierwszozna, sir. Niedawno została porwana żona właściciela wielkiego majątku ziemskiego ze Szkocji. Jej mąż dostał list, taki sam pewnie, i nie reagował na groźby tej bandy. Wiem o innych jeszcze wypadkach tego rodzaju. Słyszałem również, że ten kto zapłacił, temu żadnej krzywdy nie zrobili.

— A co policja tutejsza? — rzucił Amerykanin.

— Nie wiele może. Od roku już szukają — ale dotąd jeszcze im się nikogo z bandy ująć nie udało. Mnie się zdaje, że tutaj potrzebąby Harry Dicksona. Ten by im dał radę.

— Harry Dickson? Ten sławny detektyw, o którym tak często się czyta w gazetach?... Ale gdzie go znaleźć. Podobno jest w Paryżu. Nie wiem nawet czy i to prawda...

— Możliwość się dowiedzieć, — rzekł nieśmiało lokaj.

Amerykanin, jakby opędzając się od ciężkich, tłoczących się w mózgu myśli, wstał i zwolnił słuchającego.

— Nie dam im się, — rzekł do siebie.

W tym samym momencie drzwi uchyliły się zlekka i siwiejąca już głowa kobiety, uderzając podobnej do Donnella, ukazała się w szczelinie.

Amerykanin był od kilku lat wdowcem; opiekunką jego dzieci i gospodynią jego domu była jego siostra o kilka lat odeń młodsza.

— Pokojówka mówiła mi... — zaczęła.

— Już cały dom wie! Tak jest. Dostałem list z pogrozkami, list, domagający się stu tysięcy funtów. Teroryzują mnie... Ale nie znają Donnella. Nie dam się. A ten świstek — wrzucę do kosza!

Alicja Donnell wbiegła do pokoju:

— Nie czyn tego, Johnie! Zastanówmy się lepiej co czynić. Trzeba rozważyć wszystkie możliwości. Nie spiesz się!

Rozgniewany nie na żarty finansista starał się opanować.

— Jak chcesz. Ale chyba Londyn, to nie dżungla. Chyba jest jeszcze policja w Anglii.

— Jest, oczywiście, że jest. Ale pokaż mi list najpierw i pozwól mi go przeczytać.

— Proszę bardzo.

Alicja Donnell przeczytała list i pobałta:

— Johnie! przecież ci porywacze mówią wyraźnie, że jeśli im nie dasz pieniędzy — porwą dzieci! Wyciągają ręce po Edytę i Roberta! Na Boga, przecież to straszne! Nie dopuścisz chyba, aby im się coś złego stało!

Milioner padł ciężko na fotel.

— Tak, — westchnął. — Ich mają na myśli... Ale ja ani przez chwilę nie sędzę, aby to mogło być coś poważnego.

— Kto wie... — odparła Alicja Donnell w zamyśleniu.

— Policja będzie wiedziała! Przede wszystkim powiadomię policję. Mam nadzieję, że znajde w Anglii ochronę przed bandą terrorystów i szantażyistów.

Amerikanin skreślił kilka słów i zadzwonił na lokaja:

— Zaniesiesz ten list do Scotland Yardu. Weź wóz. Sprawa jest bardzo pilna.

Siostra milionera przyglądała się przez ten czas listowi.

— Spójrz, — rzekła nagle mocno ożywiona, do brata. — Przecież ten list ma chińskie znaki wodne!

— Zauważyłem to! Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. W co drugim sklepie londyńskim dostaniesz t. zw. chiński papier z chińskimi wodnymi znakami. Jest to wysoki gatunek papieru, ale nic ponadto.

Donnell spoglądał na list z pogardą i gniewem. Starał się przekonać samego siebie, że jacyś szantażyści pośledniego autoramentu jego, Donnella, nie potrafią zaniepokoić. Ale mimo to był czegoś nie spokojny i z niecierpliwością czekał na powrót służącego.

Po godzinie zjawił się wreszcie komisarz policji.

Jestem komisarz Knorr: proszę mna dysponować, mr. Donnel.

Milioner wręczył komisarzowi list.

— Tak, — rzekł komisarz. — Banda Duk-Duk już takich listów wysłała sporo. To niebezpieczni złoczyńcy.

— Czy udało im się porwać istotnie kogoś z osób, od których chcieli wymusić napewno równie wielkie jak i ode mnie sumy?

— Udało się. I po dziś dzień nie mamy naprzykład wiadomości o miss Morrison, córce wielkiego fabrykanta obuwia.

— Zatem należałoby się z nimi liczyć — tak pan chce powiedzieć, panie komisarzu?

Komisarz zastanowił się i rzekł wreszcie:

— Uzależniłbym to od tego, czy ma pan rodzinę, mr. Donnell.

— Mam.

— Dzieci? Żonę?

— Dwoje dzieci, które mi są wszystkim na świecie.

Komisarz zaszepił się.

— Hm... — mruknął, — sytuacja staje się tedy bardzo poważna.

Mr. Donnell nagle wybuchnął:

— I to mi mówi policjant, oficer policji angielskiej! A więc cały Scotland Yard, cały ten olbrzymi aparat bezpieczeństwa nie może zlikwidować bandy złożonej z kilku lub kilkunastu przestępców! Niech pan czyni coś. Niech pan zastosuje te środki, które zastosowałby każdy na pana miejscu. Mam więc płacić i uważać, że rzecz jest w porządku?

— Ależ oczywiście, że złoczyńcom nie należy się poddawać. Uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, aby ustrzec pana od łap tej bandy!

Donnell uspokoił się.

— Poproszę pana o posterunki w moim domu i w parku. Da mi pan je?...

— Oczywiście. Za pół godziny ludzie ci już będą czuwać nad snem pańskich dzieci.

— Każę zakratować okna i umocnić drzwi.

— Bardzo słusznie.

— Zaangażuję Harry Dicksona, aby współpracował z panem, dobrze?

Usłyszawszy to nazwisko — komisarz Knorr zerwał się z miejsca.

— Nie, mr. Donnell, na współpracę z Harry Dicksonem zgodzić się nie mogę. Jest to, owszem, bardzo uzdolniony człowiek, ale tylko amator. A my pracujemy fachowo. My nie uznajemy metod, stosowanych przez panów amatorów...

Donnella zraził trochę ten atak na człowieka cieszącego się tak wielkim rozgłosem. Ale na policji zależało mu przede wszystkim...

— Jak pan uważa, panie komisarzu, — rzekł ustepliwie... — Jak pan uważa...

## Klub działa

Komisarz dotrzymał słowa. Trzej rośli wywiadowcy zameldowali się po upływie pół godziny w mieszkaniu milionera.

Oczywista, że wchodząc z bandytami na ścieżkę wojenną, komisarz ustalił z Donnellem, że do parku Primrose nikt nie zostanie delegowany. Postanowili list kompletnie zignorować.

★

Nazajutrz Harry Dickson, słynny detektyw londyński, po dłuższej nieobecności zawitał znów do swego zacisznego mieszkania przy Baker Street.

Tom Wills, pomocnik mistrza i jego przyjaciel, powitał swego opiekuna ze szczerą radością.

— Jak się masz?... Są jakie nowości?... Daj mi, proszę cię, gazety z okresu mej nieobecności. Pobiegniesz poza tym do naszego starego Browna i zapytasz go, czy do mnie nie miał interesu. Muszę się zorientować w sytuacji.

Tom spojrział na swego mistrza ze zdziwieniem. Harry Dickson, jakby szukał zajęcia...

Dickson zasiadł do dzienników, a Tom Wills pobiegł na miasto.

Daremnie pukała mrs. Crown, zacna gospodyni Harry Dicksona, do drzwi jego gabinetu, mełdując, że kawa stygnie. Detektyw zagłębił się w pracy i nie chciał się od niej odrywać. Miss Crown zrezygnowała. Postanowiła czekać do obiadu.

Koło południa Tom wpadł do domu jak bomba.

— Co się stało? — zagadnął go Harry Dickson.

— W Scotland Yardzie chodzą jak bez głowy. Trzech wywiadowców zostało tej nocy napadniętych przez nieujawnionych sprawców. Dwóch jest rannych, a trzeci zaginał. Porwali go najpewniej.

— Nie porwali, lecz wrzucili do stawu, — zauważył detektyw, podnosząc ze spokojem oczy z nad dziennika. Członkowie klubu Duk-Duk wiedzieli, że ci trzej ludzie czuwają nad mieniem Donnella a przede wszystkim nad jego dziećmi. Napadli na tych strażników — dając w ten sposób znać o sobie. Ale miejmy nadzieję, że ci trzej — to będą ostatnie ofiary tej dotychczasowej bezkarniej bandy!

Dickson złożył wycinki z kilku gazet do teczki.

— Tak — rzekł wstając, — na dziś starczy mi tych wiadomości. Spiesz mi się. Weź z szafy moje dwa rewolwery, Tomku. Wyczyściłeś je chyba, jak należy. Weź również sporo natładowanych magazynów.

— Ho, ho! Widzę, że coś się szykuje.

— Szykuje się, mój chłopcze, praca bardzo poważna i niebezpieczna. Szkoda, że masz takie ładne oczy, bo przydałbyś mi się.

Tom Wills nie wiedział o co chodzi i otworzył swe rzeczywiście ładne oczy bardzo szeroko.

— Potrzeba mi, widzisz, kogoś, ktoby się nadał na ucharakteryzowanie go na Chińczyka. A ty się do tego nie nadajesz. Myślałem już, aby cię wysłać na Albany Street do mieszkania Donnella. Ale pocóż ryzykować twym życiem... Banda podniosła głowę. Czuli, że mnie nie było. Ale trzeba będzie dać dowód panom ze Scotland Yardu, że jestem na miejscu.

## Porwanie dzieci

Komisarz Knorr zjawił się nazajutrz rano w pałacu milionera. Nie wiedział jeszcze jak straszny los spotkał trzech ludzi, których wydelegował na miejsce. To też komisarz był w najlepszym humorze — Dzień dobry panu! Czy spali państwo dobrze?

Mr. Donnell zmierzył komisarza wzrokiem nic dobrego nie wróżącym.

— Spaliśmy nieźle. Za to pańscy ludzie już może teraz śpią snem wiecznym!

— Co? Co pan mówi... Nie rozumiem pana!

— Znaczy to, że dwóch z nich walczy w tej chwili ze śmiercią w szpitalu a trzeci zniknął, zginął i nie ma po nim śladu.

— Spełnili swój obowiązek, — rzekł komisarz zdawkowo.

— Któż od nich tego wymagał, aby narażali swe życie? Przecież, gdybym wiedział, że sytuacja jest tak groźna — zapłaciłbym tym złoczyńcom. Zapłaciłbym bez namysłu. Nie chcę krwi przelewać dla uratowania moich pieniędzy... Co teraz będzie z dziećmi? Czy mogą wyjechać na spacer, jak codzień?...

— A dlaczegożby nie, mr. Donnell. W ożywionej alei parku, pod strażą ludzi zaufanych... Czy ma pan całkowite zaufanie do woźnicy i lokaja, którzy towarzyszyć będą dzieciom?

— Jak najgłębsze. Ludzie ci służą u mnie już od wielu lat. Przybyli ze mną tutaj z Ameryki. Wiem, że mogę im całkowicie ufać.

— Dzieci wyjeżdżały zazwyczaj do Regent Parku?

— Tak jest.

— Zatem nic nie stoi na przeszkodzie, aby pojechały i teraz. Rozstawię wzdłuż alei kilkanaście posterunków. Uważam ten środek ostrożności za całkowicie zbyt dobry, gdyż aleja jest bardzo ożywiona, ale dla świętego spokoju, zwłaszcza w obliczu wypadków z nocy ubiegłej — wolę — jak to mówią — na zimno dmuchać. Pożegnaj pana tymczasem, mr. Donnell, muszę się zająć ofiarami nocnej napaści...

Komisarz wyszedł. Milioner Donnell wydał dyspozycje, aby dzieci jak codzień wyjechały do parku.

Piętnastoletnia Edyta i dziesięcioletni Robert, dzieci odcytane i inteligentne, piękne i dobrze wychowane, były oczkiem w głowie ojca i stryjenki,

która się ich edukacją zajmowała. Codziennie zażywały one przejażdżki po alejach parku. W biały dzień — nic im chyba grozić nie mogło. I ojciec im tej przyjemności nie odmówił. Zresztą, gdyby nie pojechały, musiałby im powiedzieć prawdę szczerą a przecież conajmniej niepokojącą. Mr. Donnell wolał tedy zataić przed dziećmi wszystko i nie czynić żadnych zmian w ich trybie życia.

★

Otwarte lando minęło piękną aleję przy malowniczym stawie parku. Ta część wielkiego ogrodu publicznego, jakim jest Regent Park, była stosunkowo najmniej ludna.

Konie szły w wąskiej alei lekkim klusem.

Nagle jeden z koni potknął się. Woźnica wychylił się, aby zobaczyć co się stało, gdy koń zwał się na przednie nogi, pociągając za sobą, trzymającego lejce stangreta.

W tym momencie dwóch panów zbliżyło się do pojazdu.

Dostrzegli snąć wypadek i przyszli, aby pomóc woźnicy i lokajowi.

Jeden z nich podbiegł czym prędzej do stangreta, gramolącego się z ziemi. Pochylił się nad nim, przyłożył mu chusteczkę do ust i — o dziwo! — woźnica teraz już na dobre, jak nieżywy, rozciągnął się na żwirze alei.

Teraz zeskoczył z kozła lokaj i nie wiedząc co wpierw czynić, czy zająć się koniem czy stangretem — przez chwilę, ale tylko przez krótką bardzo chwilę, stał niezdecydowany.

Skorzystał z tego drugi nieznajomy. Z tyłu zaszedł lokaja, przyłożył mu taką samą chustkę do ust i parpał go, gdyż lokaj począł się sianiać na nogach.

Robert Donnell, dzielny, choć zaledwie dziesięć lat liczący chłopiec uniósł się z siedzenia:

— Co tu się stało, proszę panów?

— Nieprzyjemny wypadek, kawalerze. Woźnicę koń kopnął, a lokaj spadł z kozła i uderzył się tak mocno, że również stracił przytomność.

— Ale kiedy ja sam widziałem, że William nie spadł z kozła, tylko zeskoczył!

— Może w takim razie i jego koń kopnął... Obaj są nieprzytomni, to fakt w każdym razie oczywiście.

Nieznajomy wskazał na leżących.

— Co teraz będzie? — rzekła Edyta.

— Poczekamy, aż tu ktoś przyjedzie. O, idą ludzie. Zajmą się tymi nieszczęśliwymi, a my pojedziemy do policji, albo może do domu was odwieziemy...

W tej chwili odezwał się drugi z nieznajomych, którzy zachowywali się w ten sposób, jakby się nawzajem nie znali.

— Najlepiej odwieziemy ich do domu. Ja jestem przedsiębiorca wynajmu karet i powozów. Mam dziś również garaże. Nie będę się wcale krył z tym, że niegdyś byłem po prostu stangretem, ale w najlepszych domach. Pojedziemy!

Nieznajomy już uporał się z koniem. Teraz zręcznie wskoczył na kozioł.

Z daleka biegł posterunkowy.

Pierwszy z dwóch, ów rozmowniejszy, dobył z kieszeni legitymację funkcjonariusza policji.

— Trzeba zaalarmować pogotowie. Są dwaj ranni, nieprzytomni. Ja jęde do komisariatu. Zajmijcie się tym, kolego.

Konie ruszyły z kołyta.



Do najbliższego telefonu był dobry kilometr drogi. Policjant poprosił, aby nieprzytomnymi zajęli się przechodnie, których spora grupka otoczyła już leżących, sam zaś pobiegł do budki telefonicznej.

Po godzinie przybył na miejsce lekarz.

— Uderzeni kopytem końskim? Kto tak mówił? — dziwił się lekarz.

Pytanie to było zwrócone do wszystkich i do nikogo z pośród licznych spacerowiczów w parku, czuwających obok leżących.

— To nie są skutki uderzenia. Ci ludzie zostali odurzeni, zostali uśpieni narkotykiem.

★

Komisarz Knorr szalał w swym gabinecie. Dzieci Donnella zostały porwane w biały dzień z ożywionego bądź co bądź Regent Parku!

Komisarz usłyszał niejedno gorzkie słowo od szefa służby kryminalnej i miotał się teraz wściekły w czterech ścianach swego pokoju.

W ciągu kilkunastu godzin takie dwie sromotne klęski!

I — co najgorsza — komisarz Knorr nie wiedział zupełnie jak się wziąć do tej sprawy, nie miał żadnej poszlaki, gdzie szukać tak zuchwale poczynającej sobie bandy!

Oczywista, że Knorr zaalarmował wszystkie posterunki. Udało się nawet znaleźć konie. Sprawców ani dzieci milionera Donnella w bandzie nie było!

★

Do drzwi gabinetu komisarza rozległo się lekkie pukanie.

— Wejść!

W progu stanął woźny.

— Mr. Harry Dickson pyta, czy może go pan przyjąć.

— Proszę!

Komisarz przyjął detektywa z gorzkawo-słodkim uśmiechem:

— Wróciliśmy z podróży, mr. Dickson? Podróże to miła rzecz. Podczas, gdy pan sobie podróżuje, ja tu mam takie przykrości, że mi głowa pęka. Może cygaro?...

— Dziękuję. Chciałbym pana prosić o relację o tym, co się tu dzieje? Ludzie giną, dzieci porywają, dwaj wywiadowcy ranni, trzeci zaginiony... Co się tu dzieje?

— Dzieje się, bo dzieje. Po prostu, jak w wielkim mieście. Złoczyńców wszelkiego autoramentu nie brak w naszej stolicy. Ale po co pan się w te sprawy miesza, tego doprawdy nie rozumiem. Jest pan człowiekiem niezależnym. Mógłby pan truskawki pod miastem hodować, a pan woli co drugi dzień narażać swą głowę... Osobliwe zamiłowanie...

Dickson uśmiechnął się nie bez pobłażania.

— Pomogłem panu nieraz, dzięki temu „mieszaniu się”, w poszukiwaniu przestępców, czy nie pomogłem? Proszę o odpowiedź.

— Pomógł mi pan, oczywiście. Nawet już dwa razy wyratował mnie pan z poważnej opresji...

— No widzi pan. Zatem wszystko jest w porządku. Pomogę panu i tym razem, ale zastrzegam sobie, że się w cień pod koniec — jak czyniłem dotąd — nie usunę i nie pozwolę, aby zasługa i uznanie za ukrócenie tej bandy przypadła panu. Czy zechce mi pan w tych warunkach podać szczegóły ostatnich wypadków?

Komisarz skinął głową z rezygnacją.

— Niech pan słucha, — rzekł. — Rzecz jest dziełem Chińczyków — to fakt niezbity, bo ustalony już w toku poprzednich dochodzeń w podobnych sprawach. Teraz postanowili wydostać sto tysięcy funtów od Donnella, milionera nowojorskiego — człowieka szalenie bogatego.

Donnell, na skutek mojej rady pieniędzy tych nie wpłacił. Wydelegowałem trzech ludzi, aby czuwali nad jego pałacem... Wie pan, jaki ich los spotkał. Otoczyłem park — zapewniłem Donnella, że dzieciom w biały dzień w ludnym parku nic nie grozi... Dzieci zostały jednak porwane.

— To jest chyba wszystko, mr. Dickson. Powiedziałem co wiedziałem... Więcej, dalebóg, sam nie wiem.

Dickson wyciągnął rękę do oficera policji:

— Dziękuję panu, mr. Knorr. Postaram się tę sprawę, istotnie w tej chwili więcej niż nie jasną jakąś wyświecić. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

## Dickson na polowaniu

Harry Dickson byłby w nielada kłopotcie, gdyby zechciał obliczyć, ile razy jechał tego dnia autobusem, tramwajem, koleją podziemną i zwykłą koleją. Ile razy wyskakiwał w biegu z jednego wchiku, aby wskoczyć do drugiego, ile razy wskakiwał w biegu do innego...

Detektyw czynił to wszystko, aby się uwolnić od ewentualnego szpiega, który mógł być nań nadsłany przez ową bandę przestępców.

Gdy już nabrał przeświadczenia, że nawet najwytrawniejszy złoczyńca musiałby go z oczu stracić — zatrzymał się Harry Dickson w swym małym pokoju, odnajmowanym pod cudzym nazwiskiem, w północnej części miasta.

W pokoju tym przechowywał Harry Dickson wiele ze swych kostiumów, szminek itd.

To też nazajutrz rano pokój detektywa opuścił człowiek zupełnie doń nie podobny. Zniknęły gdzieś ostre rysy, a mały wąsik i bródka, kilka nowych linii na twarzy uczyniło zeń jakiegoś ladaco, wałęsającego się po mieście w poszukiwaniu tanich przygód.

Dickson nie chcący potrafił zlekka jakiegoś przechodnia. Skłonił się z galanteria, machnął cienką laseczką i rzekł po francusku:

— Oh, pardon, monsieur!...

Detektyw chciał wyglądać jak francuski frant, przybyły do Londynu, aby tutaj sobie pohulać.

Idąc tak ulicami z beztroską miną, zauważył policjanta, z którym już nie raz pracował i który znał go dobrze.

Łamaną angielszczyzną zwrócił się Dickson do przedstawiciela władzy:

— Monsieur, gentleman, czy monsieur zna drogę do Paddington?

Pocziwy londyński „bobby“ uśmiechnął się do tego przybysza z nad Sekwany i począł mu powoli i dokładnie wyjaśniać któredy ma pójść.

Dickson podziękował znów językiem, od którego policjantowi uszy puchły i ruszył dalej.

Nie opuścił jeszcze jednego dobrego znajomego — wywiadowcę, z którym wdał się również w podobną pogawędkę. I ten egzamin wypadł jak najlepiej.

Pewien już teraz siebie, że go nikt nie rozpozna, udał się rzekomy młody Francuz do dzielnicy Paddington.

**Dziwna to część Londynu, owo skupisko uliczek i ruder, zwane Paddington.** Gnieździł się tutaj **niegdys** cały świat przestępczy wielkiej stolicy. **Policja** z trudem dotarła do spelunek tamtejszych, **zarejestrowała** ich mieszkańców, **przeprowadziła** porządki i do pewnego stopnia unormowała życie w **tych** zapadłym kącie metropolii.

W Paddington Chińczycy mieszkali od wielu, **wielu** lat. Synów Państwa Środka — nie próbowała nawet policja ruszyć z ich miejsc zamieszkania. **Tutaj** czuli się oni jak najlepiej i tutaj po dzień **dziś** jeszcze pozostali.

Jak wszyscy Chińczycy na całym świecie — **tak** i tutaj prowadzą oni handel jedwabiem, **wyrobami** z kości słoniowej, porcelaną itd.

Dickson począł na chybił trafił zaglądać, **to** do jednego, **to** do drugiego z tych małych sklepików **chińskich**. Ufał, że w ten sposób trafi na ślad **bandy**, mianującej się Kubem DUK-DUK.

Zakupiona w jednym sklepie cygarniczkę — **sprzedał** w innym za pół ceny, nabyty w trzecim **pierścień** w kształcie węża — **zbywał** w dalszym. **W** każdym uważał bacznie i rozglądał się **wokół** z **naprężoną** uwagą.

Nagle, przyglądając się już zobojętniałym **okiem** **tym** cudom. Dickson stanął jak **wryty**.

Ujrzał bowiem twarz, aż nadto dobrze mu **znana**.

## Tajemnica spelunki

Na szczęście Harry Dickson umiał **panować** nad **sobą**. Nie wiele brakowało, a byłby się **zdradził**.

Człowiek, którego ujrzał, nie był Chińczykiem. **Miał** twarz zdeklarowanego przestępcy i choć **czynił** wyraźne wysiłki, aby uśmiechać się — **nie** **zdołał** przyoblec swej fizjonomii w nic, co by **nosiło** **znamię** szlachetności.

Nie było najmniejszej wątpliwości. Człowiek **ten** należał do bandy, operującej przed paru laty w **Ameryce**. Zawezwany specjalnie do Ameryki, **Dickson** zetknął się z członkami bandy, która **rychło** **potem** zniknęła z widowni jak za dotknięciem różdżki **czarodziejskiej**. Przenieśli się do Londynu i **tutaj** **właśnie** ich dziełem były ostatnie porwania.

Harry Dickson udawał, że jest całkowicie **pochlōnięty** podziwianiem jakiegoś **posażka**. W istocie jednak nie tracił ani przez chwilę z **oczu** niebezpiecznego osobnika, który mu go **sprzedawał**. **Przestępca** ten był w stałym **naprężeniu**. Rozglądał się **wokół** trwożnie, **nadsłuchiwał** i bacznie **przyglądał** się pseudo-Francuzowi.

Nagle zwrócił się do swego pomocnika, **tym** **razem** autentycznego Chińczyka, z kilku słowami **wypowiedzianymi** po chińsku, po czym jakby **nigdy** **nie** wyszedł ze sklepu, **powierzając** rzekomego **kupującego** **uwadze** Chińczyka.

Harry Dickson rozejrzał się **wokół**.

Chińczyk był mocno zajęty jakimś **innym** **klientem**. Rzekomy Francuz, jakby mu się już ów **posażek** przestał **podobać** — odłożył **sztukę** i wyszedł **ze** sklepu **pogwizdując**.

Harry Dickson widział wyraźnie, że **zbir**, **znany** **mu** **jeszcze** z Ameryki zniknął w **najbliższej** **klatce** **schodowej**.

Paddington, a zwłaszcza ta jego część, w której się **obecnie** **detektyw** **znajdował**, **zwana** **przez** **londyńczyków** **Inn** — **to** — **jak** **już** **wspominaliśmy** — **zbiór** **okropnych** **ruder**, **ale** **nieraz** **wielkich** **o** **tyś** **siacach** **mieszkań**, **setkach** **korytarzy**, **krętych** **i** **ciem**

**nych** **schodach**, **na** **których** **w** **biały** **dzień**, **w** **samo** **południe** **panują** **nieprzeniknione** **ciemności**.

Śród tych wertepów **miał** **Dickson** **szukać** **niepoprawnego** **i** **wyrafinowanego** **przestępcę**, **który** **wiedział** **pewnie**, **że** **jest** **ścigany** **i** **starał** **się** **ukryć**...

Zadanie **to** **wydawało** **się** **detektywowi** **zupełnie** **beznadziejne**.

Ale oto przyszedł mu z pomocą **fakt** **zupełnie** **nieoczekiwany**. **Stopnie** **schodów**, **ze** **starego**, **zalamującego** **się** **już** **drzewa**, **skrzypiały** **przeraźliwie**. **Każdy** **krok** **uciekającego** **złoczyńcy** **sygnalizował** **się** **sam** **przez** **się**.

Kierując się **słuchem**, Harry Dickson **bez** **trudu** **szedł** **za** **niebezpiecznym** **przestępcą**, **zdażając** **coraz** **wyżej** **po** **krętych** **i** **ciemnych** **schodach**.

Korzystając jakby ze **zwolnienia** **tempa** **przez** **złoczyńcę**, **zdołał** **Harry** **Dickson** **po** **kilku** **minutach** **zbliżyć** **się** **do** **na** **bezpośrednią** **prawie** **odległość**.

W tym właśnie momencie **zbir** **odwrócił** **się** **nagle**:

— Zdradziłeś się! — **krzyknął**. — **Teraz** **już** **wiem** **na** **pewno** **z** **kim** **mam** **do** **czynienia**! **Jesteś** **Dickson**!

Harry Dickson **miał** **jedynie** **tyle** **czasu**, **że** **uskończył** **w** **bok**. **Zbir** **z** **nożem** **w** **ręku** **rzucił** **się** **na** **detektywa**. **Walka** **była** **krótka**.

Harry Dickson **poczuł** **nagle** **ukłucie** **w** **prawym** **ramieniu** **i** **po** **chwili** **zdał** **sobie** **sprawę**, **że** **jest** **skaleczony**. **Nie** **bacząc** **na** **ranę**, **niewątpliwie** **powierzchną** — **detektyw** **schwycił** **laskę** — **na** **pozór** **lekką** **trzcinkę**, **a** **w** **gruncie** **rzeczy** **mocny** **pręt** **stalowy** **i** **zadał** **nim** **cios** **swemu** **przeciwnikowi**.

W korytarzu, **gdzie** **się** **ta** **walka** **toczyła** — **było** **ciemno**. **Detektyw** **trafił** **zбира** **tylko** **w** **ramię**. **Nóż** **wypadł** **z** **brzękiem** **na** **podłogę**.

Harry Dickson **czuł** **się** **już** **bezpieczny**, **bowiem** **miał** **obecnie** **przewagę** **nad** **przeciwnikiem**, **gdy** **brzeg** **padającego** **na** **kamienną** **podłogę** **noża** **i** **odgłosy** **walki** **snać** **gdzieś** **kogoś** **zaalarmowały**, **bowiem** **rozległy** **się** **jakieś** **głosy** **i** **z** **za** **niedalekich** **drzwi** **kilku** **Chińczyków** **wypadło** **na** **korytarz**.

— Brać go! — **wrzasał** **Amerykanin**.

Trzeba było się **ratować** **ucieczką**.

Rozdzielając **hojnie** **razy** **swą** **laseczką**—**Dickson** **począł** **się** **cofać** **ku** **drzwiom**.

Detektyw **nie** **stracił** **orientacji** **i** **zamiast**, **jak** **liczyli** **jego** **prześadowcy**, **wycofywać** **się** **ku** **ślepemu** **zakończeniu** **korytarza** — **zmierzał** **ku** **schodom**.

Tylko dzięki tej **okoliczności** **detektyw** **wyszedł** **z** **tej** **strasznej** **opresji** **cało**.

Przesadzając **po** **kilkanaście** **stopni**, **zbiegł** **Dickson** **po** **schodach** **i** **wreszcie** **znalazł** **się** **na** **ulicy**.

Ramię **było** **tylko** **zlekka** **skaleczone**. **Pod** **tym** **względem** **obaw** **nie** **było** **najmniejszych**.

— Wpadłem w **sidła** **tego** **zбира**, — **rzekł** **Dickson** **do** **siebie**. — **Całe** **przebranie** **i** **charakteryzacja** **na** **nic**. **Policjanci** **mnie** **nie** **poznali**, **ale** **ten** **amerykański** **opryszek** **jest** **o** **wiele** **przebiegszy** **od** **każdego** **bobby**. **Trzeba** **będzie** **zrobić** **sobie** **okład** **a** **potem** **ponyśleć** **o** **innym** **lepszym** **przebraniu** **się**.

Znów **klucząc** **z** **jednej** **stacji** **kolei** **podziemnej** **do** **drugiej**, **przesiadając** **się** **z** **tramwaju** **do** **autobusu** **i** **naodwrot** — **dostał** **się** **detektyw** **do** **swego** **zapasowego** **pokoju**.

Pod **wieczór** **miał** **tutaj** **zjawić** **się** **Tom** **Wills**.

Tom **zjawił** **się** **istotnie**. **Miał** **na** **sobie** **niebieski** **komplet** **ucznia** **ślusarskiego**, **był** **odpowiednio** **umorusany** **i** **trzymał** **bańkę** **od** **kawy** **w** **ręku**.

Trzeba **było** **mieć** **na** **baczności** **wobec** **tej** **niebezpiecznej** **bandy**, **której** **Harry** **Dickson** **i** **jego** **nieodstępny** **uczeń** **wypowiedzieli** **walkę**.

— Mam dla ciebie pewne zlecenie, mój chłopcze, — rzekł Dickson na powitanie. — Trzeba ci wiedzieć, że ci panowie z klubu Duk-Duk — to szczone lisy. Dali mi dziś nauczkę, aby ich zbyt uprzejmie nie traktować. Widzisz...

— Przecież pan ranny, mistrzu, — rzekł Tom, gdy detektyw podciągnął rękaw.

— Nic wielkiego, mój drogi, ale w każdym razie nóż, który mnie skaleczył był skierowany w inne zupełnie miejsce.

— W serce najpewniej, — zauważył Tom.

— Tak jest. Stąd wniosek, że z tymi panami nie należy żartować. Otóż poproszę cię, abyś wniknął nieco głębiej w stosunki domowe Amerykanina Donnella. Doszedłem mianowicie do przekonania, że porwanie dzieci musiało być już od dawna przygotowane i że najpewniej ktoś ze służby Donnella informował zbrodniarzy. Być może, że działało się to bezwiednie, że ów informator był tylko mimowolnym narzędziem w rękach złoczyńców... W każdym razie należy stwierdzić, czy niema jakiegoś szpiega wśród personelu Donnella.. Zajmiesz się tym, mój chłopcze.

— A pan sobie odpocznie przez noc dzisiejsza, mistrzu, prawda?...

— Tak. Jutro będzie mi potrzeba pełni sił.

Tom wyszedł.

★

Załatwienie, jakie zlecił Tomowi Harry Dickson nie było trudne. Mimo swej olbrzymiej fortuny, prowadził Donnell stosunkowo skromny tryb życia i służbę miał nieliczną.

Pokojówka Bessy wydawała się Tomowi pod każdym względem najbardziej podejrzana.

Przystojna choć już nie młoda, odziana i uczesana z dużą dozą kokieterii — czyniła ta osóbką wrażenie bardzo czulej na komplementy i na ciepłe słówka z ust męskich.

W pobliskim barze dowiedział się Tom Wills wszystkiego. Gospodyni była bardzo rozmowna, nie bez pewnej skłonności do plotek.

Gdy tylko Tom Wills zagadnął ją o pałac, położony naprzeciwko, gospodyni, Mrs. Barclay, odpowiedziała pytaniem na pytanie:

— Kto tam mieszka?... To pan nie wie, młody człowieku...

Tom już po tej odpowiedzi zmiarkował, że ma do czynienia z osobą bardzo skłoną do gawędziarstwa. Pociągnął tedy Mrs. Barclay za język.

— Nie wiem, proszę łaskawej pani, chociaż według mnie, musi tu mieszkać jakiś Francuz.

— Ciekawam, dla czego ma tu mieszkać Francuz, — rzekła gospodyni trochę zirytowana i skrzyżowała ramiona na obfitym biuście.

— Dla tego, że gdyby tu mieszkał Anglik, to któryś z jego lokajów piłby w tej chwili u pani tę doskonałą whisky, a tylko Francuzi nie lubią whisky i szukają wina.

Ta odpowiedź udobruchała Mrs. Barclay.

— Nie jest to bez racji, co pan powiedział. Ale nie trafił pan. Tutaj mieszka nie Francuz, ale Amerykanin.

— A więc w każdym razie cudzoziemiec.

— Tak jest.

— A jego lokaje, jego pokojówki — jak tam?...

Bywają u pani, czy nie bywają? Bo czy Amerykanin lubi pić tak samo, jak Anglik — tego nawet sam nie wiem.

— Pyta pan czy lubi pić taki jeden Jankeś i drugi? Panie kochany, przez ten czas, co u nich pić nie

było wolno tak się widać do tej wódki stęsknili, że teraz cały dzień piłiby. To dobrzy klienci... Nie można narzekać.

— Czy ten Amerykanin przyjechał z całym personelem?

— Nie. A czy w Londynie nie można dostać pokojówki? Czy trzeba było aż ją przez ocean wozić?...

— Pewnie. Pokojówka jest zatem tutejsza, prawda? To taka sobie, jeszcze niczego sobie osoba, chociaż na mój gust trochę za bardzo wystrojona. Czy to ta?...

— Właśnie ta. I widzę, że masz pan dobry gust. Zresztą, ktoby z nią gadał, panie kochany... Nie warto, aby do niej słowo przemówić.

— A to dlaczego?

— Lepiej nie gadać...

Mrs. Barclay czekała, aby ją Tom prosił, a gdy się przekonała, że może zrezygnuje i nie będzie jej więcej pytał, przechyliła się przez kontuar i szepnęła mu na ucho:

— Dasz pan wiarę, młody człowieku, że ona z Chińczykiem chodzi?...

Tom zachnął się.

— Prawdziwym złotym, skośnookim Chińczykiem... Jakby nie było ładnych chłopców w Londynie. Skandal, co?

Tom mrugnął porozumiewawczo.

Zdobył sobie tak wielkie zaufanie gospodyni, że z trudem zdołał ją pożegnać. Miała mu bowiem jeszcze wiele rzeczy do opowiedzenia.

## Pod nową maską

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zjawił się Tom Wills w kryjówce swego mistrza. Wieści, jakie młody adept swemu opiekunowi przyniósł, zostały przezeń przyjęte z oznakami prawdziwej radości.

— Doskonale, — Tomku. — To, coś ustalił, posunie nas znacznie naprzód. Pokojówka Bessy może bez złej woli przyczyniła się do tego, że jej młoda paniątka — Edyta — jest teraz w rękach bandytów. Dzięki tej Bessy trafimy teraz już napewno na ślad bandy.

— A możeby tak przepytał tę osóbkę, gdzie mieszka jej skośnooki wielbiciel?

— Chybiłeś, mój chłopcze... Spłoszylibyśmy w ten sposób ptaszków z całą pewnością. Będę miał tę osobę na oku — to wszystko. Nie pytając jej o nic, dowiem się od niej wszystkiego. Pamiętaj, abyś ani słowem nie pisał Knorrowi co się ze mną dzieje. Niech się trochę pomartwi.

★

Już po godzinie od tej rozmowy Harry Dickson znalazł się w okolicach pałacu, zajmowanego przez Donnella.

Zrozpaczony ojciec nie przyjmował nikogo: niezdrowszy, w gorączce, nie opuszczał łóżka, troskliwie pielęgnowany przez siostrę.

Detektyw obrał dla siebie nową postać. Przebrał się za Araba, sprzedającego po domach dywany, rozmaite korale itp. artykuły.

O chorobie milionera dowiedział się Dickson, gdy zapukawszy do drzwi kuchennych prosił, aby zameldowano panu, że Arab ma piękne dywany.

Lokaj oświadczył, że pan jest chory i że nie prędko chyba będzie zdrowszy.

**W barze mrs. Barclay** Arab zasiadł przy filiżance kawy. Pałac Amerykanina detektyw miał stałe na oku.

Aż do zmierzchu nikt ani na chwilę nie opuścił domu milionera.

Było już ciemno, już trudno było dojrzeć zdaleka drzwi pałacu, gdy ukazała się w nich wreszcie sylwetka kobieca.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że była to pokojówka Bessy. Tom Wills opisał ją bardzo trafnie i Jekładnie.

Harry Dickson z właściwą sobie przenikliwością ustalił niemal z pierwszego rzutu oka, że dziewczyna do bandy nie należała. Gdyby tak było — spoglądałaby wokół nieufnie, obawiając się, że może ktoś ją śledzi. Tymczasem Bessy szła pewnym krokiem w kierunku pustego już o tej porze parku.

— Szuka swego Chińczyka, — pomyślał detektyw. — Wstał, zapłacił za kawę i wyszedł przed sklep. Wolnym krokiem ruszył do parku. Idąca szybciej Bessy wyprzedziła Dicksona.

— Wskazuje mi drogę, — rzekł do siebie rzekomy Arab, — przyśpieszając o tyle kroku, aby pokojówki z oczu nie stracić.

Bessy przeszła przez park i skierowała się ku dzielnicy Paddington.

— Idzie do Inn! — uradował się Dickson.

Droga trwała około pół godziny. Wreszcie znaleźli się w dzielnicy chińskiej.

Bessy zatrzymywała teraz prawie każdego Chińczyka i o coś pytała. Synowie Krainy Smoka potrząsałi głowami i szli dalej.

— Szuka swego adoratora, — rzekł do siebie Dickson i przyśpieszył jeszcze bardziej kroku, aby słyszeć jakie nazwisko przy tych pytaniach wymienia.

Ale pokojówka zmieniła teraz taktykę. Weszła do najbliższej traktierni i od proga rzuciła tak głośno, że Dickson słyszał każde słowo:

— Nie wiecie gdzie tu mieszka To-Sing?

Chińczyk za szynkwasem przez chwilę milczał, po czym zaś powtórzył głośno i jakby ze zdziwieniem:

— To-Sing?...

— Tak, właśnie To-Sing! Nie wiecie gdzie mieszka? Wiem, że w tych stronach, ale nie wiem, w którym domu.

Chińczyk zaczął się nagle śmiać, zrazu cicho, potem coraz głośnie. Był to śmiech nieprzyjemny, drwący i złowieszczy.

Bessy, zirytowana tym śmiechem odwróciła się, aby zatrzaskać drzwi. Podniosła przy tym głowę i wzrok jej padł na przeciwległą kamienicę.

— Właśnie jest To-Sing! Już niczyich wskazówek nie potrzebuję!

Dickson spojrział w tym samym kierunku, w jakim pobiegł wzrok pokojówki. W oknie na drugim piętrze mignęła mu twarz Chińczyka. Był to niewątpliwie To-Sing. Detektyw nie zdołał rozróżnić rysów tego człowieka, miał takie wrażenie, że gdzieś już go widział. Gdy odwrócił się i zaczął szukać wzrokiem Bessy — już jej nie było.

Kamienica naprzeciwko miała kilkoro drzwi obok siebie. Każde z nich wiodły do innej klatki schodowej i do innego korytarza.

Gdzie tu szukać Bessy?...

Dickson zastanawiał się tylko przez chwilę. Zdał się na swą dobrą gwiazdę i na swój instykt. Wszedł do pierwszej lepszej klatki schodowej.

Ogarnęła go odrazu ciemność kompletna. Tylko od czasu do czasu jakieś światło pośrednie, padające przez oszklone drzwi, rozpraszało mroki.

Dickson szedł przez korytarze coraz mniej pewny, czy idzie we właściwym kierunku.

Znaczył sobie każdy róg krzyżykiem, wyrysowanym kredą, aby wiedzieć, którądy wracać.

— Jaki był sens dalszego błądzenia po tych ciemnych labiryntach...

Dickson postawił sobie właśnie to pytanie, gdy nagle uszu jego dobiegł krzyk kobiecy. Krzyk był pełen trwogi śmiertelnej, przenikliwy, rozpaczliwy. Głos zamilkł równie nagle, jak dobiegł do uszu detektywa.

Czy to nie Bessy?...

Bez ruchu, zatopiony w ciemność i ciszy — detektyw nadśluchiwał, czy Bessy nie odezwie się raz jeszcze.

Ale Dickson słyszał tylko bicie własnego serca i pulsowanie własnej krwi w skroniach... Głucha cisza panowała w tym wielkim i pępym domu...

## Mały kaleka

Detektyw kierował się już na palcach z powrotem, gdy z górnych pięter dosłyszał najpierw płacz dziecka, potem krzyki i tupania.

W jednej chwili był Dickson na górze.

Ujrzał dwóch Chińczyków, ścigających małego chłopca, również Chińczyka, mogącego liczyć najwyżej około lat dziesięciu.

Chłopiec uciekał mocno utykając. Krzyczał przeraźliwie. Widać było, że lęka się śmiertelnie swych prześladowców.

Ci ostatni dojrżeli nagle Dicksona.

— Czego tu chcesz, przeklęty Arabie! Kto wie, czy nie jesteś jak wczoraj Harry Dicksonem! Czego się tu pchasz!

Obaj, jakby pod wpływem jakiegoś rozkazu z zewnątrz rzucili się na detektywa.

Ale z pod małego kilimka, jaki nosił Dickson na ramieniu, ukazała się w ręku detektywa maczuga.

Dwa dobrze wymierzone ciosy zrobiły swoje. Złoczyńcy, zupełnie oszołomieni, ratowali się ucieczką na bardzo niepewnych nogach.

Chłopiec chiński padł koło małego okienka.

— Co ci jest? — zwrócił się doń detektyw z troskliwością.

— Chcieli mnie zgładzić. Chcieli mnie udusić, — płakał chłopiec, — słyszałem co mówili i dlatego chcieli mnie unieszkodliwić, — mówił lamana angielszczyzną.

Słowa te zainteresowały detektywa. Cóż to mogły być za tajemnice, których znajomość groziła temu małemu śmiercią.

— Pójdiesz ze mną? — zaproponował mu detektyw.

— Nie, — szlochał mały. — Jestem kulawy, już nie mam siły do chodzenia. Tylko ze strachu udało mi się uciec. Teraz już nie mogę zrobić ani kroku.

— Musisz się więc gdzieś ukryć, ażeby cię nie znaleźli.

— Ukryję się na poddaszu. Oni tej drogi nie znają.

— Dobrze. Ukryj się i nadśłuchuj uważnie i miej oczy na wszystko otwarte. Ja przyjdę tu jutro i zagwiżdżę cichutko. Odpowiesz mi jak potrafisz. Zgoda, mały? Masz tu co jeść. — Dickson dał mu tabliczkę czekolady i suchar, który miał przy sobie. — Zgoda?

— Zgoda!

Chłopak uściśnął rękę swego zbawcy i począł się gramolić pod górę.

Dickson odłożył rozmowę z tym małym do jutra. Narazie nie miał prawa narażać go i nie chciał wystawiać na niebezpieczeństwo siebie samego.

Z zachowaniem jak najdalej idących ostrożności przebiegł Harry Dickson przez ulice dzielnicy Paddington i znów okólną drogą dotarł do swej kryjówki.

Zmęczony — detektyw zasnął wkrótce snem sprawiedliwego.

★

Dickson obudził się nazajutrz wcześniej i począł w łóżku rozmyślać nad tym, co przez te dwa dni osiągnął.

Był na tropie bandy — to rzecz pewna. Ale i banda wiedziała już o jego istnieniu.

Dwukrotnie byli przygotowani w Inn na jego „przyjęcie“.

— Czy trzecia wizyta w tych ruderach nie skończy się dla mnie tragicznie? — zastanawiał się detektyw.

Na to pytanie Dickson sam sobie udzielił odpowiedzi bardzo konkretnej:

— Uczynię wszystko co będę mógł, aby się przeciwko wszelkim niebezpieczeństwom asekurować, ale pójść do Inn muszę. Mój mały sojusznik przeciw czeka!

Przez cały prawie dzień szykował się Dickson do tej trzeciej wycieczki.

## Klucz zagadki

— Co powiesz, Tomku? Po twojej minie poznaję, że jesteś naładodwany wiadomościami i że musisz się z ich ciężaru uwolnić.

Dickson zapalił fajkę. Uśmiechał się serdecznie do swego ucznia i wychowanka.

— Wiadomości i nowości jest doprawdy sporo. Najsamprzód Bessy...

— Wyszła wczoraj pod wieczór i nie wróciła... Wiem o tym. I powiem ci, że los tej dziewczyny wydaje mi się przesadzony. Ale i na tę sprawę przyjdzie kolej. Co dalej?

— Dalej — mr. Donnel otrzymał jeszcze dwa listy. Bandyci żądają teraz sum większych.

— A co na to mr. Knorr?

— Nie pozwolił nawet wręczyć tych listów Donnellowi, który jest doprawdy ciężko chory.

— Zatem Donnell ich nie dostał, jak mówiłeś. Były one tylko adresowane do Donnella. Należy się wyrażać ściśle, my boy.

— Tak jest, mistrzu.

— Dobrze. Na wszystko przyjdzie kolej. Mam dla ciebie teraz inne polecenie. Przespacerujesz się do komisarza Knorra i poprosisz go, aby wszedł

przez policję lokalną w kontakt z właścicielem domu, przylegającego do Inn, od strony południowej Cloud Street. Do domu tego przybędzie blacharz i będzie się krzątał na dachu. Rozumiesz mnie? Zajął to jak należy i będziesz na mnie czekał przy Paddington Station. Będę w ubraniu robotnika z przepaską na lewym oku. Jasne?

— Jasne!

— Do rak tego robotnika włożysz niepostrzeżenie kartkę z numerem domu, o którym mowa.

— A możebym mógł panu towarzyszyć, mistrzu?

Harry Dickson uśmiechnął się:

— A to w jakim celu, my boy?

— Wybiera się pan na jakąś niebezpieczną wyprawę... Zawsze co dwóch, to nie jeden.

— Dziękuję ci, mój drogi, — odparł detektyw, teraz już poważnie, — bardzo ci dziękuję, ale wierzę mi, że nie proszę cię o pomoc tylko dla tego, że i jeden — to za wiele w tej wyprawie. Ci złoczyńcy, poprostu jakby mnie wyczuwali: już dwa razy mnie poznali pać jak najstaranniejszym przebraniem. Gdyby nas było dwóch, poznaliby mnie i ciebie momentalnie. Zresztą, drogi, którądy ja dziś w nocy będę chodził, dostępne są tylko dla jednego.

Tom westchnął ciężko.

— Jeżeli to niemożliwe — to trudno. 7.45. Paddington Station. Człowiek z czarną przepaską na lewym oku... Dobrze.

Tom wyszedł.

Harry Dickson ułożył się wygodnie na kanapie. Gdy czekały go trudne zadania — zwykł był przez dzień cały wypoczywać, rozmyślając i ćmiąc swą ulubioną fajkę.

Dopiero pod wieczór wstał i począł się z wielką dokładnością przeobrażać w robotnika budowlanego.

Krótką ryżawa broda pokryła mu podbródek w ten sposób, że już dzięki temu stał się Harry Dickson zupełnie do siebie nie podobny. Sporych rozmiarów, czarny bandaż na oku, dopełniał tej maskarady znakomicie.

Kwadrans przed ósmą był detektyw punktualnie na stacji Paddington. Dickson żałował, że nie umówił się z Tomem, w jakim przebraniu zjawi się jego pomocnik na stacji kolei podziemnej. Trochę nieswojo było Dicksonowi czekać na tej ruchliwej stacji i w każdym z młodszych przechodniów podejrzawać Toma.

Nagle przed detektywem stanął młody gazetciarz. Z wyciągniętym dziennikiem w dłoni, wyrostek stanął przed detektywem i podał mu gazetę, nie pytany nawet, czy ów skromny nabywca, za piśmo zapłaci.

Dickson chciał już zwrócić natarczywemu gazetciarzowi jego towar, gdy dostrzegł błysk w jego oczach. Domyślił się wszystkiego. Miał przed sobą Toma.

— Zuch chłopak — pomyślał detektyw. — Będzie z niego kiedyś as nad asy!

W dłoni znalazł detektyw kartkę.

Rozwinął dziennik, siadł na ławce, aby zajrzeć do ostatnich wiadomości, a przede wszystkim odczytać adres.

„Cloud Street Nr. 5“.

Pod tym adresem widniała jeszcze jedna wiadomość, już dodana przez Toma z własnej inicjatywy:

„Pokojówka nie wróciła“ — czytał Dickson. Detektyw znów pochwalił w duchu swego pomocnika.

★

Gospodarz domu przy Cloud Street był człowiekiem usposobienia nie specjalnie ujmującego.

Otworzył drzwi rzekomemu blacharzowi i mruknął:

— Nie rozumiem co za zwyczaj, aby na dachu pracować po nocach.

Gospodarz miał rację, to też rzekomy blacharz uważał za właściwe powtórzyć już przez komisarza Knorra podawane wyjaśnienia:

— Przez cały dzień miałem dużo roboty, proszę pana. A że trzy miesiące byłem bez pracy, więc muszę teraz robić za dwóch, żeby długi spłacić i aby jakoś żyć... Zresztą pan komisarz mnie zna. Wie on, że ja dobrze wykonam tę robotę nawet z zamkniętymi oczami...

Gospodarz zrzędził jeszcze przez chwilę, dał jednak blacharzowi klucz i wskazał mu drogę na strych.

Harry Dickson na dach wcale się nie spieszył. Wystarczyło mu, że był na poddaszu. Tu czekał aż się zupełnie ściemni.

Pogoda sprzyjała temu przedsięwzięciu znakomicie. Niebo było zachmurzone i padał drobny deszczyk.

Ciemności zapadły wcześniej niż w dzień pogodny. Harry Dickson uznał, że może wyjść na dach, aby tą drogą przedostać się do małego Chińczyka, swego obecnie najważniejszego sprzymierzeńca.

Taka wędrówka po dachach nie należała jednak do najbezpieczniejszych. Trzeba było bardzo uważać, aby w ciemności nie poślizgnąć się na wilgotnym i miejscami stromym dachu. Ale Harry Dickson był doświadczonym w tego rodzaju przedsięwzięciach.

Gdy nagle dojrzał otwarte okienka na strychu — zagwizdał cichutko, w sposób umówiony z Chińczykiem.

Szedł tak od okienka do okienka i co pewien czas gwizdał. Nagle detektyw usłyszał nieśmiały odzew. Harry Dickson czymprzedziej zeszedł po otworze w dachu na strych.

Z zachowaniem wielkiej ostrożności zapalił latarkę elektryczną.

— Jesteś? — szepnął detektyw.

— Jestem, — rozległ się dziecięcy głos. — Ja tu czekać, Mister.

W głosie chłopca była wielka radość.

— Czy nas kto może dosłyszeć?

— Nie, mister, Tu być cicho i pusto. Tylko myszy latać. Myszy piszczeć. Czasem szczury. Wu-Ming głodny i pić... Bardzo chce pić.

Dickson pokiwał głową:

— Myślałem o tym. Mam tu dla ciebie trochę dobrych rzeczy.

Dickson wyjął z kieszeni płaską butelkę z winem, z innej — kilka butelek z wędliną.

Chłopiec wypił kilka dużych łyków wina i zabrał się do jedzenia.

— Wu-Ming dziękuje. Był bardzo głodny...

— Na zdrowie, — rzekł Dickson. — Jedz, a jak się nasycisz, opowiesz mi coś słyszał.

— Wu - Ming opowie wszystko...

Pocziwe skośne oczy dziecka spoglądały na detektywa z wielką wdzięcznością i oddaniem.

Wreszcie malec przestał jeść.

— A teraz Wu - Ming powie, — rzekł. — To nie dużo do opowiadania. Tylko to, że widziałem jak To - Sing uderzył białą panienkę...

— Kiedy to było?

— Wczoraj, mister.

— Widziałeś to na własne oczy?

— Tak, mister. Wu - Ming jest sierotą. Nie ma domu. Śpi, gdzie mu pozwolą. Ale prawie wszyscy pozwalają. Przez cały dzień Wu-Ming chodzić od domu do domu, żeby dali jeść. Dają. Więc Wu-Ming był w domu To-Sing. Sam To-Sing o tym nie wiedział. Przyszła jakaś biała pani. Była bardzo zła. „Dla czego nie przyszedłeś, — mówiła. — Dla czego przestałeś się pokazywać?“

— Co na to To-Sing, mój maly?

— Nic nie mówił, tylko patrzył na nią tak strasznie, że Wu-Ming zamknął oczy, tak się bardzo bał.

— Co dalej? Opowiadaj chłopcze.

— Dalej ta biała pani zaczęła krzyczeć: „Teraz wiem dla czego mnie wypytywałeś co robią dzieci! Teraz wszystko rozumiem! To tyś je porwał, albo twoi ludzie! Tylko dlatego poznałeś się ze mną! Podły! Podły! Bandyta! Porywacz! Ja to powiem policji!“

Mały Wu-Ming począł nagle drzeć na całym ciecie i rozplakał się żałośnie.

— To takie straszne. On jej nie dał dokończyć tego słowa. On ją uderzył. Nie wiem czym, ale ona od razu uknęła na podłodze. I jak zobaczyła jego oczy — krzyknęła. On ją jeszcze raz uderzył.

Ona już nie żyła.

— I wtedy To-Sing ciebie spostrzegł, czy tak?

— Tak, mister. Ja płakałam g'łośno ze strachu. On mnie zobaczył. Ja uciekam. On za mną na schody... I on gwizdał. Jeszcze inni wypadli. I oni by mnie zabili. Ale pan przyszedł, mister i pan mi życie uratował. Wu - Ming dziękuje...

Harry Dickson zatarł ręce.

Nie było wątpliwości, że dzieci Donnella znajdowały się gdzieś w jednej z tych ruder. Tutaj było siedlisko bandy, mianującej się klubem Duk-Duk. Chodziło teraz o ustalenie gdzie, w którym mieszkaniu, w którym domu, lub w jakiej piwnicy nieśczęśliwe dzieci milionera amerykańskiego były więzione. To było najważniejsze zadanie chwili.

Może Wu - Ming miał w tej dziedzinie jakieś informacje?... Przecież to dziecko bywało wszędzie, znało cały Inn dokładnie.

Dickson pogłaskał małego po jego czarnych, twardych włosach.

— Jesteś dobrym i dzielnym chłopcem, — rzekł detektyw. — Ufasz mi, prawda?

Chłopiec skinął głową:

— Tak, Wu-Ming, ufać panu, mister.

— Dobrze. Więc sobie teraz przypomnij, czy nie widziałeś, czy nie słyszałeś o dzieciach, o chłopcu i dziewczynce, które tutaj gdzieś muszą być ukryte... Pomyśl dobrze, Wu-Ming... Od tego, co powiesz zależeć będzie życie tych dzieci, niewinnych tak samo, jak i ty.

## Podziemna świątynia

Cisza była teraz taka, że słyhać było lekki odgłos kropel deszczowych, uderzających o dach.

— Boję się, — szepnął malec... Bardzo się boję.

Istotnie dzieciak drżał na całym ciecie. Był śnać wystraszony. To, co widział w tych domach, wyczerpało jego młode nerwy.

Dickson uspakajał go jak mógł.

— Boję się, bo tutaj w tych dniach jest cała banda strasznych ludzi. To są ludzie z mojej rasy i biali też. Czasami przychodzą nie wiadomo skąd. Wcale nie z ulicy. Oni chodzą pod ziemią. Wu-Ming tam nie być nigdy, ale Wu-Ming wie dobrze wszystko.

Malec rozejrzał się trwożnie.

— Mów dalej, chłopcze. Nic ci nie grozi. Bądź spokojny, — zachęcał go detektyw.

— Oni mają pewnice, w której się schodzą. Ja tam nie byłem. Ale wiem, którądy oni do tej piwnicy schodzą. Tam się podnosi coś z ziemi i ziemia się otwiera. W tym miejscu jest na kamieniu narysowany... Smok... Straszny Smok... Ma czerwone oczy i jest czarny.

Dickson omal nie krzyknął z radości.

Teraz już wszystko było jasne. Przecież taki sam znak Smoka, czarnego z czerwonymi oczami, był symbolem bandy, z którą walczył za oceanem, w Ameryce. Oto miał ich znów przed sobą... Ale teraz już mu nie ujdą!

— Trafisz do miejsca, gdzie jest ten rysunek?

— Trafie, ale ja się bardzo boję.

— Prędzej, chłopcze. Prędzej. Nic ci się nie stanie. Idziemy!

Głos detektywa brzmiał łagodnie, ale była w nim taka stanowczość, że chłopiec podniósł się i jak urzeczony ruszył przed siebie.

Chłopiec znał każdy kąt na strychu i szedł pewną nogą, omijając po ciemku rozmaite graty i wyrwy w podłodze.

Zeszli potem powoli i z wielką ostrożnością po skrzypiących schodach na dół i zatrzymali się przez chwilę, aby posłuchać, czy ktoś ich nie usłyszał, lub nie dostrzegł.

Ale cisza była wokół zupełna i Harry Dickson zwolnił uścisk swej dłoni, dzierzącej rewolwer.

— Dziś nikogo tu nie spotkamy, mister, — rzekł malec.

— Dla czego, Wu-Ming?

— Bo dziś jest święto Chińczyków.

— Cóż to za święto?

— Nieladne święto, mistrzu. I nie wszyscy Chińczycy tak je świętują, jak podobno kiedyś je świętowano... Ojciec Wu-Minga mówił, że to są złe zyczące, żeby ofiary składać takiemu smokowi z żelaza. Ale tamci z tej bandy właśnie tak robią.

Dickson słuchał tych słów chłopca z rosnącym niepokojem. Ofiary na ołtarzu jakiegoś smoka! Czy aby dzieci Donnella nie zostały przeznaczone na te ofiary?... Czy właśnie teraz dwoje tych dzieci nie czeka na wyrok tych łotrów?... Trzeba się było spieszyć! Każda minuta była droga!

— Prędzej, Wu-Ming, prowadź do tego rysunku! Życie ludzkie może od naszego pośpiechu zależeć!

Zeszli do piwnic.

Powietrze, dotychczas ciężkie i suche, stało się teraz wilgotne i prawie chłodne. Szli przez kilka minut ciemnym korytarzem. Szczury z piskiem uciekały im z pod nóg.

Wu - Ming zatrzymał się wreszcie.

— Rysunek musi być gdzieś tutaj. Ale Wu-Ming boi się bardzo.

Dickson ujął dziecko za rękę, przez chwilę znów nadślułkiwał, poczym zapalił swą latarkę kieszonkową.

Snop białego światła padł na szary kamień muru piwnicznego. Czarny smok z czerwonymi oczami zarysował się wyraźnie na ścianie.

— Tak! Teraz już wiem wszystko. Dziękuję ci, Wu-Ming. Nie wiesz wcale na jak wielką wdzięczność zasłużyłeś sobie wobec człowieka, który, gdy zechce, zmieni tryb twego życia do gruntu. A teraz idź już. Wracaj na górę, na strych. Przyjdziesz do ciebie.

Mały stał przez chwilę niezdecydowany.

— Czy pan idzie sam do nich?... Oni straszni ludzie, oni biją, zabijają!

— Damy sobie z nimi radę.

— Damy?... — Malec uśmiechnął się. — Pójdziemy razem? Bo Wu-Ming już się nie boi. I Wu-Ming pomoże dobremu misterowi...

**Barwny. Żywy. Aktualny.**

Ukazał się już Nr. 4.

## Przeglądu „Światowego”

który zawiera niezwykle sensacyjne informacje i artykuły o ostatnich wydarzeniach politycznych w Polsce i zagranicą, a między innymi:

**Francja w pogotowiu  
bojowym**

Plan błyskawicznego ataku  
Niemiec zawiedzie

**Stalin odsuwany od  
władzy**

Kto rządzi obecnie w  
Sowietach

**Kłamstwa Niemiec  
zdemaskowane**

Trzecia Rzesza przegrywa  
wyścig zbrojeń

**25-ta rocznica wojny  
światowej**

Jak dokonano zamachu w  
Serajewie

Cena 10 gr.

Dickson poklepał chłopca po ramieniu. Już po raz drugi w ciągu paru godzin młoda dusza ofiarowała mu się z pomocą.

— Dziękuję ci. Nie przydasz mi się, chłopcze. Byłbyś mi tylko zawadą. Wracaj na górę.

Chłopiec ruszył powolnym krokiem.

Dickson przez chwilę spoglądał za nim. Nagle jakby sobie coś przypominając, szepnął:

— Wu-Ming! Wu-Ming! Poczekaj.

— Masz tutaj ten bilet. Pójdiesz z nim do mego ucznia na Baker Street. On cię zaprowadzi do Mr. Donnella. A Mr. Donnell już się tobą zajmie.

Dickson podszedł do chłopca, kazał mu potrzymać latarkę elektryczną, odnalazł w portfelu swój bilet wizytowy i skreślił na nim kilka słów.

— A kiedy mam tam pójść?

— Kiedy?... No widzisz, mój mały, poszedłbyś tamtędy, gdybyś się mnie nie mógł doczekać. Gdybym długo nie przychodził. Rozumiesz?

— Rozumiem. Bardzo dobrze, — zachlipał nagle chłopiec, — rozumiem... Ale pan wróci, Mister. Na pewno pan wróci...

— Wróce. Zobaczysz, że wróce. Idź już...

★

Dickson rzucił jeszcze raz snop światła na smoka i począł się rysunkowi przyglądać z całą uwagą.

Ze swego ogromnego doświadczenia wiedział detektyw, że rysunki tego rodzaju albo zawierają pewien dyskretnie oznaczony punkt, który należało nacisnąć, aby się gdzieś jakaś kłapa, lub jakieś drzwi otworzyły, albo też, że rysunki takie wskazują pewien kierunek, w którym należy szukać otworu.

Ogon smoka kończył się dość dziwnym zawijaniem. Na samym jego końcu widniała dość wyraźna strzała.

Harry Dickson ruszył w kierunku, który ta właśnie strzała wskazywała.

Z bronią gotową do strzału, w najwyższym napięciu nerwów szedł detektyw powoli, krok za krokiem, przed siebie.

Przeszedłszy w ten sposób około pięćdziesięciu kroków — Dickson ujrzał na ścianie piwnicy drugi rysunek — identyczny z pierwszym.

Tutaj korytarz rozwidlał się. Ogon smoka wskazywał wyraźnie jaką drogę należało obrać.

Idąc w ten sposób od rynsztoku do rynsztoku — było ich na tej podziemnej drodze cztery, dotarł Dickson do muru, zamykającego korytarz.

Daremnie szukał teraz nowego znaku, któryby mu wskazał w jaki sposób należy ten mur przebyć. Mur był gładki i czysty, bez jednego rysunku i najmniejszego znaku.

Przez długą chwilę detektyw stał przed tym murem zamyślony. Aż wreszcie, jakby coś sobie przypominając, dobył z kieszeni niewielki kawałek świecy i zapalił go. Jednocześnie zgasił latarkę.

Ten manewr mógłby się wydać dziwny. Czyżby słynny detektyw uważał, że przy skąpym i rozproszonym świetle świecy prędzej odnajdzie jakiś znak, który mu umożliwi przebycie muru?...

Ale wystarczyło przyjrzeć się, jak Dickson operował świecą, aby stwierdzić, że nie dla światła za palił świecę.

Detektyw wodził świecą koło fug w murze i szukał w nich szpary. Dickson domyślał się, że gdzieś w tym właśnie murze musi być przejście.

Ale płomień świecy nie wahał się zupełnie. Detektyw klęknął teraz na podłodze i oparłszy się o mur, począł prowadzić świecą u dołu, u nasady muru.

Płomień świecy począł teraz migotać gwałtownie. Dickson skoczył na równe nogi i stuknął w ścianę.

— Z płótka, — rzekł do siebie, uśmiechając się tryumfanie. — Trzeba mi było ją opukać przede wszystkim, a od razu byłbym to stwierdził.

Spory nóż składany błysnął potem w ręku detektywa.

Dickson podłożył jego klingę pod dolną szczelinę i nacisnął. Rzecz nie wymagała nawet wielkiego wysiłku.

Rozległ się wielki trzask i cała ściana podniosła się.

Przez chwilę stał detektyw przed nowym korytarzem, do którego padało skądś lekkie światło.

Detektyw zmarszczył brwi. Zdarł fałszywą brodę, zdjął z oka przepaskę, zrzucił nawet granatowy komplet roboczy i już jako Harry Dickson — wszedł do korytarza.

— Będziemy walczyć! — rzekł do siebie, sprawdzając, czy oba rewolwery są zarepetowane.

Z każdym krokiem, rozróżniał detektyw coraz wyraźniej rozgwar głosów ludzkich. Złoczyńcy, kryjący się pod murami starych ruder dzielnicy Paddington czuli się tutaj, w tych podziemiach, śnać zupełnie bezpiecznie.

Po kilkudziesięciu krokach dotarł Dickson do krętych schodów, wiodących w dół. Tutaj głosy były jeszcze wyraźniejsze.

Dickson zatrzymał się przy schodach. Należało się zastanowić, czy słusznym będzie zejść na dół, ukryć się gdzieś w bezpośrednim sąsiedztwie tych bandytów i wystąpić w odpowiedniej chwili, czy też nie należało sprowadzić na miejsce oddziału policji.

Ale Harry Dickson zwykł był działać w pojedynkę, lub najwyżej ze swym wiernym Tomem. Zresztą — rozważał — zanim da znać policji może już być za późno.

Rozglądając się wokół uważnie, ujrzał Dickson rodzaj studni, biegnącej w dół równoległe do klatki schodowej. Studnia była wąska, o ścianach chropowatych.

Dickson był doskonałym alpinistą. Niejednokrotnie już schodził w tak zw. kominach skalnych — długich i wąskich rozpadlinach, wiodących w przepaść.

I tym razem, ostrożnie i powoli począł detektyw schodzić po tym kominie.

Po kilku minutach poczuł coraz silniejsze gorąco. Pot wystąpił mu na czoło. Gdzieś widać płono ognisko lub palono mocno w piecach.

Teraz mógł już Harry Dickson rozróżnić ludzi na dole.

Oto, ku swemu przerażeniu stwierdził, że zbliża się i że nieuchronnie będzie musiał wylądować na grzbiecie wielkiego smoka, od którego taki żar bił do góry.

Dalej — w głębi dużej sali podziemnej było kilkunastu, a może i kilkudziesięciu Chińczyków. Detektyw nie mógł ich wszystkich widzieć.

Odziani w czarne i czerwone szaty jedwabne, ludzie na czworakach zbliżali się ku posagowi smoka. Na ich twarzach rysowało się fantastyczne otepienie. Na czole kroplił się pot. Posuwali się powoli ku paszczy smoka i raz po raz coś w nią wrzucali.

Gdy już każdy wrzucił swą ofiarę — wstali wszyscy i poczęli coś śpiewać. Z bocznego otworu wyszedł tymczasem jakiś człowiek w ubraniu o wiele wspanialszym, niż nosili pozostali. Śpiewy umilkły momentalnie.

Harry Dickson rozpoznał po chwili To-Singa. Śnać był on tutaj hersztem bandy i może kapłanem strasznego kultu smoka.

— Gdzie Ling i Ho-Sen? — zagadnął To-Sing obecnych.

— Nie mogą przybyć, — odparł jeden z Chińczyków. — Ten diabeł wcielony, Harry Dickson, uderzył ich wczoraj swoją laską i teraz leżą chorzy. Jeden ma złamaną reke, drugi — ane na głowie.

To-Sing zagryzł wargi.



— Dałem mu nauczkę za to. Jeśli jeszcze raz się tu ośmieli pokazać — jeżeli miałby się wynieść ze mną, z To-Singiem.

Po tym oświadczeniu herszta rozległy się dzikie okrzyki.

— Cisza!...

Wszyscy zamilkli.

To-Sing przerwał ciszę prawie szeptem:

— Czekaliśmy dość długo na okup za te parę piśkłat amerykańskich. Nie bawąc na nasze ostrzeżenie, milioner amerykański nie zdecydował się na przysłanie nam pieniędzy. Dziś jest święto naszego smoka ognistego. Dziś smokowi złożymy w ofierze

— Do ognia z nimi! — przerwał ja nagle strasznym wyciem To-Sing.

Dwaj ludzie schwycili Edytę Donnell.

— Stać! — rozległ się w tej chwili gromki głos, dobywający się jakby z paszczy monstrum. Onie mieli z przerażenia Chińczycy zastygli w bezruchu. Na ten właśnie moment detektyw liczył.

Rozległa się salwa z jego dwóch rewolwerów. Huk wystrzałów zmieszał się z jękami rannych i strasznym krzykiem tych, którzy w popłochu rzucili się do ucieczki.

Dickson zeskoczył z grzbietu molocha i dopadł do herszta bandy — To-Singa.

**Kuracja  
za 25 gr.**

pozwała każdemu walczyć  
z dokuczliwymi cierpieniami

**ziela żołądkowe  
ASMIDAR**

okazują się doskonałym środkiem przeczyszczającym • działają znakomicie przy zaparciach • pobudzają apetyt • zmniejszają otyłość •

**ZIOŁA ŻOŁĄDKOWE ASMIDAR**  
Cena torebki tylko 25 groszy

tych dwoje, których ojciec przeł śmiercią nie chce ocalić.

Znów rozległy się krzyki i nawet oklaski.

— Przynieść ich! — rzucił herszt.

Nim jeszcze ich ujrzał, dosłyszał detektyw ich głosy Edyta Donnell płakała i błagała swych oprawców o litość. Dziesięcioletni chłopiec od czasu do czasu tylko jednym mocnym słowem wyrażał swą pogardę dla strasznej bandy.

Odziana w białe szaty — pierwsza zjawiała się dziewczynka. Za nią wnieśli jej brata, szamocącego się teraz i krzyczącego przeraźliwie.

Harry Dickson, zlany potem, bliski omdlenia z gorąca uczynił ostatni wysiłek; podniósł się i wrócił w głąb komina. Było mu trochę chłodniej. Mógł tutaj wydobyć rewolwery i przygotować się do swego wystąpienia — niespodziewanego, terroryzującego całą tę bandę.

To-Sing znów zabrał głos:

— Kto się ośmielił zadzwic z naszych grózb, ten obraził naszego wielkiego ognistego smoka. Ubłagać można bóstwo tylko ofiarą tym, co ów winny obraży ma najdroższego.

Nastąpiła chwila ciszy.

W rękę złoczyńcy błysnął nóż. Ugodzony kolbą rewolwery — To-Sing zwałił się jak kłoda do stóp detektywa.

— Poddać się! Odrzucić noże i broń! Ręce do góry!

Oślonięty od tyłu, stojąc przy ścianie — Dickson wydał ten rozkaz, dzierżąc dwa rewolwery gotowe do strzału.

Ludzie podnieśli ręce do góry.

Dickson, niezdecydowany, czy wolno mu odejść od ściany, dosłyszał nagle kroki całego oddziału zbiegającego w dół po schodach.

Pierwsi policjanci wpadli do sali z małymi automatycznymi karabinkami w rękach.

— Aresztować ich! — wydał rozkaz Dickson.

Po paru minutach dwudziestu dwóch Chińczyków, okutych w kajdany — ustawionych zostało na dziedzińcu domu w Inn.

To-Sing został powierzony opiece lekarza. Miał głowę mocno uszkodzoną od ciosu Dicksona.

Z ostatnimi ludźmi zjawiał się mr. Knorr, komisarz.

— Skąd się pan tutaj wziął, komisarzu? — dziwił się Dickson.

— Zaalarmowano mnie, że pan tu jest i że grozi panu niebezpieczeństwo.

— Kto to doniósł?

— Jeden z moich policjantów.

— Czy jest tutaj?

— Oczywiście. Barkley — wezwijcie Smitha, — rozkazał komisarz.

Tęgi posterunkowy zjawił się na rozkaz.

— Jak to było, żeście mi ten meldunek podali?

— Było tak, że do mnie przyszedł tutaj, koło Paddington Station mały Chińczyk. Dał mi bilet wizytowy. Patrzę, bilet Harry Dicksona. — Masz niebylejakie znajomości, mój skośnooki, — powiadam. A ten mały na to: — Tak, to jest mój przyjaciel. Ale jemu śmierć grozi. — Gdzie jest? — pytam. — Tu, na dole. Ja zaprowadzić.

Pomyślałem sobie, że sam nie dam rady. Zadzwońnię, no i jesteśmy na miejscu.

— A gdzie jest ten mały Chińczyk? — zaniepokoił się Dickson.

— Na razie został zatrzymany, — rzekł z namaszczeniem komisarz. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Ależ panie komisarzu, niech-że pan da spokój. To doprawdy główna sprężyna tej sprawy, główny czynnik naszego sukcesu. Trzeba go zwolnić. I niech się ktoś zajmie dziećmi Donnella, bo chłopca jeszcze nikt nie rozwiązał.

Pocziwy Smith za głowę się schwycił.

Pobiegł do Roberta Donnella i czym prędzej rozciął krepujące go sznury.

Chłopiec wstał, roztarł nogi i ręce i, utykając, podszedł do Dicksona:

— Uratował pan nam życie. Dziękuję panu. Mój ojciec na pewno będzie panu też bardzo wdzięczny.

Detektyw uściskał chłopca, po czym zajął się dostarczeniem rodzeństwa do domu.

Prowadzeni za rękę przez Smitha — zmierzali właśnie Edyta i Robert Donnellowie ku wyjściu z podziemi, gdy detektyw ich zatrzymał.

— Jeszcze chwilę, — rzekł detektyw. — Gdzie jest Wu-Ming?

— No podwórzu, sir, — zaraportował Smith.

— Proszę go tu sprowadzić. Pan komisarz się zgadza, nieprawda?

— Ależ oczywiście, — rzekł Knorr, pełen wy-lania.

Mały Wu-Ming znalazł się przed obliczem detektywa.

— Dziękuję ci, Wu-Ming za wszystko. Jesteś dobrym chłopcem i masz nie byle jaki rozum.

Dickson wskazał na Edytę i Roberta: — Tych dwoje dzieci tyś od zguby uratował. Ich ojciec na pewno się tobą zajmie. Tymczasem pójdiesz z nimi do ich domu.

Zwracając się zaś do Smitha, Dickson rzekł:

— Zaprowadzi pan całą trójkę na Albany Street do Donnella.

— All right! — zsalutował bobby

★

Pod wodzą komisarza Knorra w tej dziedzinie mistrza nad mistrze, dokonana została niezwłocznie gruntowna rewizja w całym bloku Inn.

Rewizja nie została ukończona w ciągu jednej nocy. Knorr wystawił posterunki i nazajutrz przybył z nowymi siłami, aby dalej prowadzić dzieło kompletnego oczyszczenia tej dzielnicy od zbrodni, która się tu zagnieżdżyła.

Po czterech dniach wywieczono na światło dzienne wszystkie tajemnice tamtejszych spelunek.

Szulernie, palarnie opium, wytwórnia fałszywych banknotów i wreszcie siedziba bandy To-Singa — wszystko to mieściło się w tych ruderach i pod nimi.

★

Milioner John Donnell, trawiony bezsennością, daremnie przewracał się na łóżku i układał coraz inaczej swe poduszki. Nie mógł zasnąć. Myśl o dzieciach odbierała mu sen, zabierała mu spokój i czyniła nieznośnym życie.

Obiecał wszystkim wielkie sumy, większe niż okup wynosił, za odnalezienie dzieci, za ich ocalenie. Ale moc pieniądza jakby tutaj ustawała.

— Trzeba mi było zapłacić od razu!... — powtarzał sobie już po raz setny. — Trzeba mi było nie słuchać jego rad!...

Była jedenasta w nocy. John Donnell stracił już dawno rachubę czasu. Ludzie chorzy i źle śpiący mierzą godziny ogromem swych cierpień.

Nagle przed pałacem zatrzymał się jakiś samochód.

Donnell wstał z łóżka i podszedł do okna.

Na przedzie samochodu siedział tęgi policjant.

A oto policjant wstaje i otwiera drzwiczki auta.

Jakiś mały chłopczyk, Chińczyk, wysiada z wozu.

— Żeby tak mój Ry...

John Donnell nagle oniemiał. Czy majączy?... Czy ma znów gorączkę? Czy to doprawdy jego Ryszard, jego syn ukochany?...

— Rysiu!

Chłopiec usłyszał wołanie ojca. Ale zamiast pobiec ku ojcu, odwrócił się w kierunku samochodu.

— Daje jakieś znaki. I — o wiekcie nieba! — przecież z taksówki wysiada teraz lekka stópka ukochana córeczka Johna Donnella — Edyta!

Nie pomny, że jeszcze wczoraj gorączkował ciężko, wybiegł Donnell przed dom.

— Dzieci!! Kochane dzieci!

Edyta i Ryszard rzucili się ojcu na szyję.

Policjant i mały Wu-Ming stali na uboczu.

Podczas, gdy niepomny ludzi i świata ze szczęścia, wiódł mr. Donnell swe dzieci do mieszkania, przed jego pałac zajechała druga taksówka. Wyskoczył z niej smukły mężczyzna o energicznych rysach twarzy.

— Mr. Dickson! Witamy pana. To wasz zbawca, dzieci! Całe życie nie spłacicie wobec niego długu wdzięczności. Proszę do nas, mr. Dickson.

## Czarna i biała magia

Każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Polykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Spiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrwtych przedmiotów. Sztuki z rachunkami i kartami. Seanse spirytystyczne. Każdy łatwo potrafi się nauczyć wszystkich sekretów. Wysyłamy łącznie z Czarną Magią różne ciekawe książki, komplet z 6 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z ilustracjami za zł. 3.95. Wyślijmy na Płatne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. — Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK oddz.

Warszawa, I. Pl. Napol skrz. poczt. 700 H D

UWAGA: Bezpłatnie dodajemy książkę o t. "Poznaj siebie - bliźnich!!!" Jak wróżyc z ręki i z palców namiętne sposoby wróżenia



Detektyw uściślał dłoń Amerykanina.

— Nie przychodzę po podziękowanie. Chodzą mi o tego tutaj małego Chińczyka. Powiem krótko: gdyby nie on — nie odniósłbym dzisiaj tego sukcesu. Wu-Ming jest sierotą. Proszę pana, mr. Donnell, aby się pan zajął losem tego chłopca.

Amerykanin skinął na malca. Wziął go na kolana i rzekł do swych dzieci:

— Edyto i Ryszardzie. Straciłem dwoje dzieci, a odzyskałem troje. Oto wasz nowy brat. I jemu należy się wasza wdzięczność.

Posterunkowy Smith został hojnie wynagrodzony.

Donnell zatrzymał detektywa i gościł go długie godziny. Zmęczone dzieci udały się na spoczynek. Wu-Ming po gorącej kąpieli po raz pierwszy spał w wygodnym i czystym łóżku.

**KONIEC.**

Cud techniki  
nowoczesnej



**Automat-  
Pistolet „Grom”**  
kal. 6 m/m —



jest uznany przez znawców za najlepszy. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. System belgijski. Pleknie oksydowany. Repetuje się przed strzałem automatycznie wyrzuca gilzy. Huk kolosalny. Wykonanie luksusowe. Rekojeści wykładane masą bakelitową. Waga 200 gramów, długość 100 m/m., wysokość 65 m/m. Idealna obrona przed napadem i kradzieżą. Cena zł. 6.95. Dwie sztuki zł. 13.50. Sętka naboji system „Flobert” zł. 3.65. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Adresujcie: Przedst. Fabr. Pistoletów

**Kazimierz Kołodziejczyk** oddz. 2  
Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.



**6 książek**  
pożytecznych  
za bezcen



1) Adwokat doradca domowy. Wzory odwołań podatkowych skarg sądowych, podań do władz i urzędów. Sprawy egzekucyjne, majątkowe, eksmisyjne, rolne, budowlane, spadkowe, wekslowe kredytowe, wojskowe, małżeńskie. Wzory umów dzierżawnych, ofert, podań o pracę i t. p. — 2) Polski sekretarz dla wszystkich. Wzory listów prywatnych, ofert, podań, skarg i t. p. — 3) Zwyczaje i formy towarzyskie. Kodeks o dobrych obyczajach według wymagań życia. — 4) Tajemnice kobiet i mężczyzn. Książka interesująca wszystkich. — 5) Dr. Ostrowski. „Idealny środek zapobiegania ciąży”. Książka interesująca i pożyteczna. 6) Wyrocznia Arabsko - Chaldejska. Rewelacja słynnego medium, w/g której można otrzymać odpowiedzi na najpoważniejsze pytania. Cały komplet zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie. — Płaci się przy odbiorze. Adres:  
**KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK**, Oddz. 1  
Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

## PALACZE TYTONIU

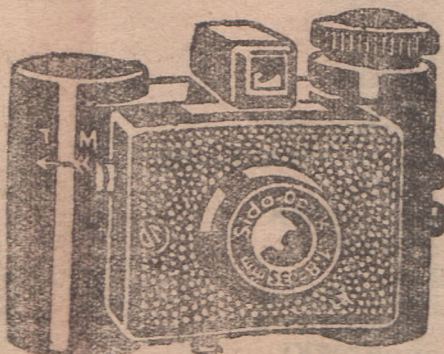
Ratujcie zdrowie. Nikotyna  
zatrzuwa organizm



Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3-ch godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wieczny papieros „IDEAL” a ochronicie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „IDEAL” daje możliwość zaciągania się

i oddziaływa zbawiennie na błone słuzowa nosa i gardła. „IDEAL” wzmacnia i krzepi organizm dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych. — Cena zł. 2.45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie! Płaci się przy odbiorze. Wysyłamy na listowne zamówienie  
Adresuj:

**Kazimierz Kołodziejczyk** oddz. 2  
Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.



## NAJMILSZYM TOWARZYSZEM JEST APARAT FOTOGRAFICZNY

Każdy może tanim kosztem nabyć doskonały aparat fotograficzny „S I D A”. Aparat ten z wbudowanym wizerem optycznym posiada bardzo łatwą obsługę. Fotografować może nawet dziecko. Wyniki fotografowania doskonałe.

**CENA REKLAMOWA ZŁ. 8.35.**

wraz z błoną filmową na 10 zdjęć i pouczeniem. Futerał skórzany zł. 2.—. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj:

**KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK**,  
WARSZAWA, Pl. Napoleona, skr. poczt. 700 H. D.

Następny **Nr. 81 Harry Dicksona**,  
który ukaże się we wtorek, dn. 25-go lipca  
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

„**ZDRADZIECKI GOBELIN**”

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

**Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:**

- |                                    |                                |
|------------------------------------|--------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“                   | 39. UPIÓR W TEATRZE            |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 40. DEMON WIATRU.              |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“         | 41. SOBOWTÓR.                  |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“              | 42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC.      |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“             | 43. DANCING NA BŁOTACH         |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“             | 44. PRZEDZIWNY HOTEL.          |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“                 | 45. SREBRNA MASKA.             |
| 8. „KRÓL NOCY“                     | 46. SIEDEM KRZESEŁ.            |
| 9. „POSEPNA KABAŁA“                | 47. DIABELSKI SKARB            |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“          | 48. KAT LONDYNSKI.             |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“             | 49. CZERWONY SUŁTAN.           |
| 12. „KAPIANKA OGNIĄ“.              | 50. PRZYGODA MALAJSKA.         |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY          | 51. SYNOWIE NOCY.              |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA                   | 52. KRÓL ŻELAZA.               |
| 15. WIDMO TUŁACZA                  | 53. WALKA W TUNELU             |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT           | 54. ZBRODNICZY AUTOMAT         |
| 17. DUCH ŚWIATŁA                   | 55. TAJEMNICA PROFESORA FOXA   |
| 18. CZERWONA DAMA                  | 56. W PIASKACH SAHARY          |
| 19. MIASTO PIRATÓW                 | 57. DWANAŚCIE SERC             |
| 20. POSTRACH LONDYNU               | 58. ŻYWY PORTRET               |
| 21. TAJEMNICA ŁODZI PODWODNEJ      | 59. ZAMEK NA SKAŁACH           |
| 22. NIEBIESKI BOCIAN               | 60. BAL MASKOWY                |
| 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO.           | 61. TRAGEDIA STAREGO RODU      |
| 24. HAWAJSKI SZTYLET.              | 62. CZERWONY SMOK              |
| 25. WOSKOWE JABŁKO                 | 63. SKRADZIONY WYNAŁAZEK       |
| 26. WIELKA GRA.                    | 64. FAŁSZYWY KROK.             |
| 27. HOTEL EMIGRANTÓW               | 65. KRÓLOWA TRAPEZU            |
| 28. KRWAWY KLEJNOT                 | 66. UPIÓR TAMIZY               |
| 29. SZTUCZNE ZŁOTO.                | 67. CZARNA PANTERA             |
| 30. CZARNY MŚCICIEL.               | 68. W PALARNI OPIUM            |
| 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI.             | 69. BEZLUDNA WYSPA             |
| 32. POŻAR W MIASTECZKU.            | 70. TOREADOR Z GRENADY         |
| 33. ZŁOWIĘSZCZY ŚNIEG.             | 71. KOBIETA O 4-rech TWARZACH. |
| 35. GWIAZDA POLARNA.               | 72. NA WYSPIE KORFU.           |
| 36. KWADRATOWE OKNO.               | 73. SKARB NA DNIIE MORZA       |
| 37. WODNY CZART.                   | 74. DRAMAT W CYRKU             |
| 38. DUCH W ZAMCZYSKU.              | 75. CZERWONY RADZA.            |
|                                    | 76. MISTRZ CZARNEJ MAGII       |
|                                    | 77. TAJEMNICA GROBOWCA.        |
|                                    | 78. SOBOWTÓR CYRKÓWKI.         |
|                                    | 79. W PODZIEMIACH WIEDNIA.     |

Czytajcie

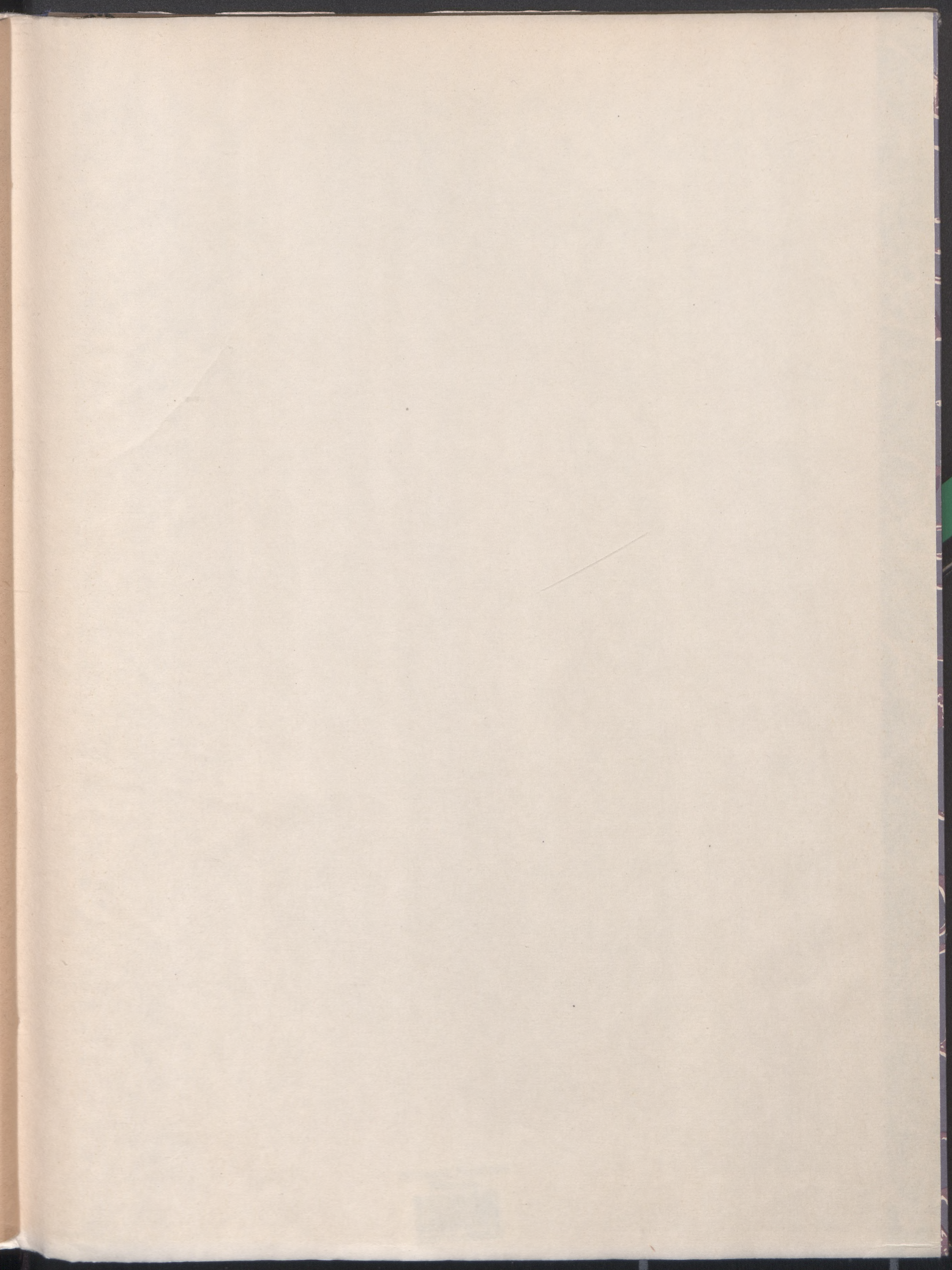
Czytajcie

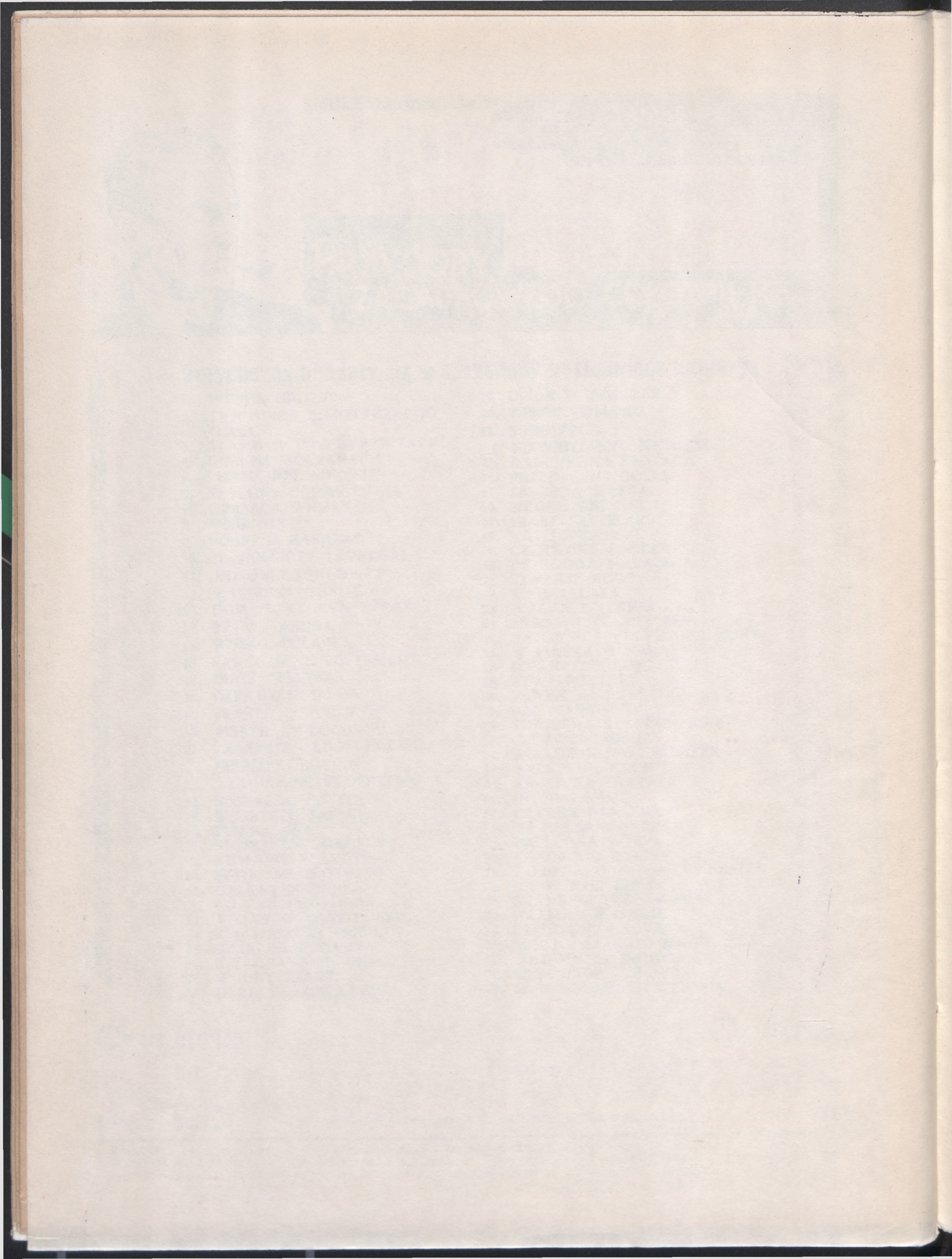
# PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena 10.

Cena 10

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Łosiew. Zamieszkał w Łodzi  
WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. odp. — Oddbito w drukarni własnej, Łódź, ul. Piotrkowska 49 — 64  
Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136 51





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001024366500



BN

BIBLIOTEKA  
NARODOWA

201

623405/80

BN

BN

BN

BN

BN

BN